



RCK LIX

№ 31

PIŚMIENIOWY GODNIOWE I ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 31 LIPCA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Za chińskim murem — *H. Ceysingerówna*. O najmniej znanej fabryce miejskiej — *Józefa Gażyńska*. Zamiast radja — *M. B. L.* Z tęsknot literatury włoskiej — *Irena Kopczyńska*. Wakacje — *Felicja Kruszevska*. Wiatr i motylek — *Z. Reutt-Witkowska*. Panna Kamilcia (d. c.) — *C. Walewska*. Córka Boga (d. c.) — *Z. Zawiszanka*. Tajniki świata zwierzęcego (d. c.) — *Janina Maszewska-Knappe*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z książek — *Marja Dąbrowska*. Dział praktyczny: Mody i roboty. Bluzka przybrana szydełkowymi kwadratami. Letnie okrycia *W. D.* Ewolucja lalki nowoczesnej — *Stefania Podhorska-Okołów*. Ogrodnictwo w życiu Polki — *J. O.* Mój puder higieniczny — *Dr. J. Świńska*. Przechowanie masła. Co na letniku można ususzyć — *Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jej imię” — *Concha Espina* (autoryzowany przekład z hiszpańskiego T. Jakubowicza). Arkusz wzorów. Tablica krojów.

ZA CHIŃSKIM MUREM.

Ósmy rok już istnieje nowe Państwo Polskie; na obszarze jego żyją, obok Polaków, narodowości bliskie nam mową i pochodzeniem, a jednak różne: Ukraińcy, Białorusini, Litwini.

Od innych t. zw. mniejszości narodowych różnią się one nie tylko tem, że zamieszkują zwartą masę pewne określone terytorja, ale także, że tych terytorjów są ludnością rodzimą, odwieczną, tak samo, conajmniej, jak i tamtejsi Polacy.

Jeżeli Niemców i Żydów, choć obywatele Państwa Polskiego, uważać można za ludność napływową, określenie to w żaden sposób zastosować się nie da do wyżej wspomnianych narodowości.

One tu są u siebie, tak samo zupełnie, jak my tu jesteśmy u siebie.

Nie tylko za współobywateli uważać ich też musimy, ale i za rodaków. A jednak, pomimo, że ósmy rok tego współżycia w ramach wspólnej organizacji państwowej powinien był wywołać wzajemne zainteresowanie, zainteresowania tego, doprawdy, nie widać, przynajmniej po naszej stronie.

Już Wincenty Pol nawoływał: „A czy znasz ty, bracie młody, te pokrewne twoje rody, tych górali i Litwinów, i Żmudź Świętą, i Rusinów?”

Od tego czasu tyle wody upłynęło w naszych rzekach, a ani brat młody, ani brat starszy o bliższą znajomość z krewniakami nie zabiegali.

Od tego czasu poznaliśmy dobrze tylko górali, ale górale — to ludność czysto polska, tylko odrębnością swego górskiego życia odmienna.

Ani nauka nasza, ani publicystyka, ani sztuka i literatura ludnością wschodnich województw Polski współczesnej nie zajmują się w dostatecznej mierze.

Odstrychnęły nas od nich nienawiści polityczne i to początkowe lekceważenie, które wierzyć kazało, że, w przeciągu paru lat, ludność ta, o nieskrystalizowanym poczuciu narodowościowym, wraz z oświatą, przyjmie, bez reszty żadnej, kulturę polską.

Oczywiście, złudzeniem tem nie obejmowano w żadnym razie powiatów b. Galicji Wschodniej, ale tam, wyrosła ze krwi świeżych walk nienawiść nie dopuszczająca jakiegokolwiek zbliżenia.

Nadzieje na spolonizowanie niezwłoczne ludności białoruskiej i ruskiej, czy ukraińskiej, w prowincjach b. zaboru rosyjskiego okazało się jednak także iluzją. Spełnienie na niczem tych nadziei niektórzy pośród nas skłonni są przypisywać agitacji postronnej, czy nawet, ujemnej, zdaniem ich, akcji niektórych czynników państwowych, niektórych stronnictw. Sądzę, że to pomyłka.

Do ciemnej, w znacznym stopniu zrusyfikowanej już, ludności naszych wschodnich województw przemówiła wielka wojna, przemówiły te przewroty polityczne, które z hukiem gromów, jak burze wiosenne, przewalały się nad ich głowami.

Takie okresy najbardziej ospałe ludy budzą z wiekowych ich snów.

Ustrój demokratyczny nowej Polski przyczynił się, oczywiście, w bardzo znacznym stopniu do zbudzenia ich świadomości narodowej. Wybory, wiece, głosowania — to pod tym względem doskonała szkoła. Sami daliśmy im tę szkołę.

Nie chcę w tem miejscu wypowiadać sądów, czy stało się źle, czy dobrze. Stwierdzam, że się stało. Lud białoruski i ruski i litewski za panowania rosyjskiego nie wiedział, kim jest. Na zapytanie o narodo-

wość, tak samo zresztą, jak często i lud polski w owe czasy, odpowiadał: katolik lub prawosławny.

Dziś jest inaczej. Świadomość raz zbudzona stłumić się nie da. Wszelkie próby w tym kierunku byłyby takim samym głupstwem politycznym, jak próby niemieckie zgermanizowania ludu polskiego na Śląsku, lub w Wielkopolsce.

Eksperymenty tego rodzaju udawały się w wiekach średnich. Nie udają się dziś i nie potrzeba nawet tłumaczyć różnicy czasów.

Oczywiście, pewien procent ludności naszych ziem wschodnich ulegnie wpływowi wyższej kultury polskiej, i to tem większy, im mniej świadomego nacisku, a więcej naturalnej atrakcyjności ze strony polskiej się przejawia. Ale masa, wraz ze wzrostem oświaty rozmiłowywać się pocznie w swoich odrębnościach, tworzyć własne kulturalne wartości. Jest to proces, powtarzający się wszędzie jednak w tem stuleciu, które jest stuleciem budzenia się małych narodów.

Otóż, jeżeli tak, jeżeli skazani jesteśmy na współżycie państwowe z Ukraińcami, Białorusinami i Litwinami, tedy pierwszym obowiązkiem naszym jest poznać dobrze tych naszych współobywateli i współrodaków. Nakazuje nam to przede wszystkim dobrze zrozumiany interes własny, konieczność uregulowania współżycia w sposób, możliwie dla obu stron najkorzystniejszy i najmniej wywołujący tarć, a tego dokonać nie można bez głębokiej i dokładnej znajomości charakteru, interesów, nawet nastrojów i aspiracji współnika. Ze sprawą tą wiąże się jednak i dalsze zawiłości, wynikające z faktu, że większość narodu Białorusinów i Ukraińców ma przynależność państwową do Rosji, a większość narodu litewskiego mieszka w obrębie własnego, niezależnego państewka.

Rzeczy te, niezmiernie komplikując sprawę, są problemami naszej przyszłości, otwarcie mówiąc, naszego bytu lub niebytu politycznego. I dlatego powinniśmy w te zagadnienia wpiąć baczny wzrok. I dlatego może nasze pokolenie słabe, lekliwe, nie posiadające wielkich ambicji politycznych, zamyka na nie oczy.

Zamiast chować głowę w piasek, należałoby do rozwiązywania tych zagadnień w przyszłości zacząć się przynajmniej przygotowywać, przez studjowanie języków, życia, obyczajów, podań, tradycji, obrzędów tych ludów, tak jeszcze pierwotnych, że z pewnością możnaby się tam dokopać cennych, pod względem naukowym, pamiątek przeszłości. Niemieccy uczeni podczas wojny zrobili pod tym względem więcej, niż Rosjanie i my przez ciąg stuleci. Ich studja etnograficzne i folklorystyczne t. zw. przez nich „Ober Ostu“ są godne podziwu.

Poza tem istnieje przecież wcale poważna literatura i publicystyka ukraińska w b. zaborze austriackim, istnieją jej zaczątki na Wołyniu. Takie same zaczątki pojawiają się coraz liczniej na Białorusi. My, inteligencja polska, a zwłaszcza inteligencja stolicy, my o tem nic, ale to nic nie wiemy. Nie informują nas korespondenci pism, polujący tylko na jakiś skandal polityczny, ukraiński lub białoruski. Nie mówi się

o tem na żadnych zjazdach. Nie pojawiają się broszury choćby, jeśli już nie poważniejsze prace publicystyczne w tym przedmiocie. Stał jakiś mur chiński między nami, a pobratymcami i współobywatelami naszymi. Tylko w Sejmie wytryska od czasu do czasu niezadowolone mniejszości narodowych, którego objawy przeważna część opinii polskiej przyjmuje z oburzeniem i nienawiścią.

W rezultacie tego stanu rzeczy, nie mamy pojęcia o prądach politycznych, społecznych i kulturalnych nurtujących te młode zbiorowości, o pracy ich dla odrodzenia czy urodzenia własnej kultury, skryształowania własnej fizjonomji narodowej.

W rezultacie, po za specjalistami urzędowymi od tych rzeczy, nie wiemy nawet nic o walce, którą toczą z nami, o jej metodach i przebiegu.

Mają Ukraińcy swoje szeroko rozgałęzione towarzystwa oświatowe, świetnie prosperujące kooperatywy. W tych instytucjach, za czasów austriackich, wyrabiała się ich świadomość narodowa i zdolności organizacyjne. W nich, po klęskach wojennych i politycznych, ma ona i dziś swoje azylum. Ale, jak to się tam dzieje, na jak wielką skalę, w jakim nastroju i charakterze, my o tem nic nie wiemy.

A są to rzeczy, nie bez największego interesu. zarówno dla tych z pośród nas, którzy do rozwoju narodowości ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej odnoszą się w sposób życzliwy, jak i dla tych, co uważają go za największe dla Polski niebezpieczeństwo.

Mimo to, zamiast przebić dzielącą nas od nich zapórę, zamiast informować się i uczyć, my... ignorujemy...

Metoda najfatalniejsza, metoda, która się zemści na nas przy pierwszym konflikcie politycznym. A tak łatwo byłoby na pewnych, przynajmniej, terenach pracę zaznajamiania się i zbliżania zapoczątkować. Gesto po ziemiach wschodnich rozrzucone nauczycielstwo nasze mogłoby podjąć wdzięczny, interesujący trud zbierania materiału etnograficznego i folklorystycznego; miejscowi działacze społeczni mogliby z pewnością, bez wielkich trudności, dostarczyć materiału informacyjnego o bieżącym ruchu kulturalnym, wydawniczym, publicystycznym i literackim wśród ukraińskiej i białoruskiej ludności. Dostateczny musi być ruch kobiecy, zwłaszcza wśród Ukraińców. Świadczy o tem liczne i doborowe obsyłanie przez Ukrainki wszystkich międzynarodowych zjazdów kobiecych. Na tym zagranicznym terenie, my szkodziemy im, a one nam. Ale, co my o ich ruchu kobiecym wiemy?

Nic a nic!

Prędzej dochodzi do nas wieść jakaś z Indyj, lub Egiptu, niż z poza tego muru, który wspólnymi siłami Polaków i mniejszości narodowych stanął na naszej ziemi.

Myślę, że z tą skandaliczną i niedorzeczną metodą traktowania żywotnych zagadnień raz zerwać potrzeba.

H. Ceyringerówna.



O NAJMNIĘJ ZNANEJ FABRYCE MIEJSKIEJ.

Każdemu, kto wieczorem mija kościół Św. Karoła przy ulicy Chłodnej, wpada w oczy wielki, trzypiętrowy gmach po drugiej stronie ulicy. Każde w nim okno jasne. Mieści się tam fabryka miejska. Choć wielka i istnieje już od lat 11, mało znana jest szerszemu ogółowi. Może się za mało reklamuje? Może i dlatego, że nie świeci na niej, czy nad nią, jaki wielki szyld wymowny? A przytem, o dziwo! Choć liczy dużo setek pracowników, mieścić się musi i pracować naprzemian, a zgodnie, z 2 innymi zakładami miejskimi. Idzie całą parą, ale tylko od 7—9 m. 25 wieczorem, codziennie, prócz świąt i niedziel. Żart na stronę: jasne, zięjące światłem okna naprzeciw kościoła — to znak, że IX Ognisko Kursów dla Dorosłych st. m. Warszawy — przy pracy. W innych porach dnia gospodarza tu wielooddziałowe szkoły powszechne dla dzieci: ranne i popołudniowe, również miejskie.

Ognisko IX, Chłodna 11, róg Walicowa — kierownik p. Mikołaj Nakonieczny, jest największe w Warszawie. Liczy 21 zespołów słuchaczy. W tem, tak zwanych kursów początkowych — 15, 4 — Szkoły Powszechnej dla Dorosłych, i kursy matematyczno-techniczne Uniwersytetu Powszechnego o 2 grupach uczeni.

A Ognisk takich, rozrzuconych po różnych punktach Warszawy, było w r. ub. 31, ogólna zaś ilość słuchaczy, to pokaźna liczba 6,100. Główny Zarząd Instytucji mieści się przy ulicy Kruczej Nr 21. *)

Dziś chcę mówić tylko o Szkole Powszechnej dla Dorosłych.

Pracowników na Chłodnej najlepiej schwytać na gorącym uczynku przy warsztacie, bo ich tam najwięcej. Zajrzyjmy, co się dzieje, choćby na III roku.

Parę minut przed 7-mą. Trzydzieści przeszło osób płci obojej, lat około 20 — nic dziwnego, że gwar wielki. „Co? Nima jeszcze mapy! Gdzie gospodarz? Baliński! Baliński! Co za porządek! Dziś pojezierze pruskie. Które miejsce, co do produkcji węgla zajmuje Polska? Koleżanka pamięta? Szóste! Nie siódme!“ A z kancelarii, z pod klucza od p. Sekretarza, niesie właśnie kolega Baliński pocztową, przedwojenną „Europę Środkową“ Sosnowskiego.

Inna klasa. Przy tablicy skupiła się grupka. Stukot kredy ustął na chwilę. Zaciętrzewieni słuchacze wodzą palcem po liczbach. Dzielnym milicjantem mówi przybitym głosem: „19/217 robotnika w drugiej fabryce — niedobra odpowiedź, a równanieśmy przecież dobrze ułożyli!“ Po chwili ciszy, jakieś wytrwałe, a energiczne: „Jeszcze raz!“ — „Dobrze!!!“ „Jeśli iksem oznaczmy cenę sześciennego metra drzewa, to... Zresztą, niechno koleżanka jeszcze raz treść przeczyta!“ Rzetelna bakalarnia!

Przed lekcjami i po lekcjach, a nawet i na innych wykładach ukradkiem, odrabiane są zadania. Cieszą się one największym powodzeniem.

7-ma. Dzwonek. Wchodzi nauczycielka. Za nią gospodarz. Idą, objuczeni bryłami geometrycznymi. Z drzewa, tektury, żelaza; masywne, puste. Albośmy to jacy, tacy, chłopcy robotnicy, robociarze! Kowale, ślusarze, stolarze, tokarze i jeszcze inni — arze. Sa-

miśmy je dokładnie odrobili dla pożytku społecznego. Rozbierane, zamykane, jedne w drugie się wsuwa i t. d. i t. p. Duma uczelni. Niektóre, szczególniejsze misterne, figurowały na wystawie jubileuszowej w dzień dziesięciolecia Kursów dla Dorosłych.

* * *

Młoda, pełna energii twarz „p. profesorki“ skupiła się na chwilę nad notesikiem. Serca trochę kołająca u tych, którzy w niedzielę coś nie znaleźli czasu na dopełnienie braków z tygodnia. Poniedziałek — trudno się tłumaczyć zapracowaniem. Po chwili pada ważkie: „Pan Gasowicz!“ „Wyjechał“. „Co, już nie będzie chodził?“ „Montuje maszyny na Kresach. Za 2 tygodnie ma wrócić“, wyjaśnia sąsiad. „Monter“, myśli przyrodniczka, „prawda, tak się interesował mechaniką, tyle ma praktycznych wiadomości. Najwięcej z klasy chyba umie z fizyki“. „Panie Wrzątkowski, proszę do tablicy, ale z kajetem!“ I pan Wrzątkowski, urzędnik XII kategorii, wysuwa się z ławki. Lepiej wprowadzić z miejsca. Nie widzi się tyłu twarzy, oczu, skierowanych w stronę tablicy. O! Trudno się było dorosłemu do szkolnego obyczaju nałamać. Te pierwsze dni szczególniejsze... Pamięta zapis... Taki mu wstyd było: za ogonkiem, z dziećmi prawie. Bo to przecież Szkoła Powszechna dla tych, co 18 lat skończyli, a niejedynemu nawet wyśkamle, co mu kilku miesięcy jeszcze brak do całej osiemnastki.

Słuchacz Dąbrowski, inkasent poważnej firmy technicznej, bardzo jest ceniony przez szefów i cały personel biurowy. Inteligentny, rozsądny, uspołeczniony. Czuję jednak swoje poważne braki umysłowe. Skończył rosyjską szkołkę elementarną, ale wiadomo, jakie to one były po wsiach! A ortografia i arytmetyka brózdzą mu nawet przy pełnieniu obowiązków zawodowych, no i ciekawość świata i rzeczy jego ma wielką. Nikt mu się nie zdziwi: czasu wojny był aż w Rumunji sporo miesięcy.

Raz w tramwaju usłyszał rozmowę 2 jegomościów: „Gdzie cię anieli niosą w tę stronę?“ „Chodzę do szkoły“. „Ty do szkoły?“ „Ja. Od 7 do 9½. 5 razy na tydzień. Prócz soboty. Już jestem na III roku, ostatnim“.

Pan Dąbrowski oczy otwiera szeroko:

„I ten jegomość zażywny z brzuszkiem, w strażackim mundurze też?“ A strażak tymczasem wyjął karteczkę z portfela i mówi dalej: „Zapłaciłem za I półrocze — będę miał już głowę spokojną“. „Bardzo drogo?“ „7 złotych, a 2 za wycieczki“. „Coooo? Za całe pół roku?“ „Co niedziela idziemy gdzieindziej. Wczoraj oglądaliśmy tunel kolejowy. Student politechniki objaśniał. Na filtrach było bardzo ciekawe. Przepompowywanie ścieków. Rocznica Staszycy — wałą odczyt o Staszycu. Pogrzeb Sienkiewicza — nauczycielka od polskiego czyta nowelkę Sienkiewicza, opowiada jego życie. Już jak Żeromski umarł, to sami słuchacze przed lekcją polskiego na tablicy napisali: „Odczyt o Stefanie Żeromskim“. Aż się nauczycielka śmiała: „Co za domyślny naród!“ I na „Róży“ byliśmy! I w Zachęcie, i na koncertach w Filharmonji, i w Konserwatorium. W Muzeum Wojskowym to 3 razy, w Narodowym, na Zamku, w Katedrze, w Sejmie“...

*) Całokształt instytucji omawiałam w Numerze 46 „Bluszczu“ z dnia 4 listopada r. ub., z racji jej 10-lecia i Wystawy prac uczniów w lokalu Towarzystwa Krajoznawczego.

Ta podsłuchana rozmowa była dla p. Dąbrowskiego tą ostatnią kroplą, przepełniająca czare.

G. 9 m. 25. Dzwonek. Pan Warczak, bo on tak ślicznie pisze, jak litografja, przepisuje z karteczki plan ćwiczenia stylowego „Pomnik Małachowskiego“. Pani nie zdążyła na lekcji. Już zapisał całą tablicę. Bierze do ręki ścierkę. Ostatnia ławka woła: „Warczak! Odsuń się! Nie zasłaniaj! Jeszcze nie przepisałem! Nie ścieraj! Nie ścieraj! Zostaw u dołu!“ Rzetelna bakalarnia!

Woźny drzwi uchylił — trzeba się zbierać do domu. Przed bramą jeszcze długie postanie przed rozjeściem się. A potem idą jedną paczką na Bema, na Staszycza, na Górczewską... Ci znów, to się nawzajem odprowadzają i odprowadzają, bez końca, aż śmiech... Trudno się rozstać — tyle wspólnego łączy...

Narodziny Szkoły Powszechnej dla Dorosłych, to rok 1920/21. M. W. R. i O. P. urządziło w listopadzie 1925 r. gruntowną wizytację wszystkich kompletów. Dokonali jej przedstawiciele Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego, oraz Inspektoratu Okręgu Szkolnego m. st. Warszawy, poczem M. W. R. i O. P. zarządziło, co następuje:

1. Absolwenci Kursów dla dorosłych m. st. Warszawy mogą składać egzamin z zakresu materiału naukowego siedmioklasowej szkoły powszechnej.

2. Kandydaci ci mogą otrzymać zwolnienie od składania egzaminu z języka obcego, rysunków, robót ręcznych, ze śpiewu i ćwiczeń cielesnych.

3. Przewodniczącym komisji egzaminacyjnej, do której należeć mogą nauczyciele, uczący na danych kursach, będzie delegat, wyznaczony przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego.

4. Kandydaci, którzy złożą egzamin pomyślnie, otrzymują świadectwo z napisem: „Na podstawie Rozporządzenia Ministerstwa W. R. i O. P. z dnia 20 stycznia 1926 r. Nr. 22190-25 — świadectwo niniejsze jest równoznaczne ze świadectwem ukończenia siedmioklasowej szkoły powszechnej, daje wszelkie uprawnienia dla celów, dla których jest wymagane ukończenie szkoły powszechnej, a w szczególności dla celów, wymienionych w § 5 Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 26 czerwca 1924 r. (Dz. U. Rz. P. Nr. 64, poz. 629)“.

W sobotę, dnia 19 b. m. Szkoła dla Dorosłych obchodziła wielkie święto publiczne: rozdanie 152 abiturjentom świadectw z jej ukończenia. Uroczystość odbyła się w wielkim audytorjum fizycznym Politechniki, jako zakończenie dorocznych konferencji, urządzanych dla całego zespołu pedagogicznego Kursów. Słuchacze, komplet pracowników Kursów zajęli ławy. Przy stole prezydjalnym zasiadli: Przedstawiciel Ministerjum Wyznań Religijnych i Oświecenia Powszechnego, naczelnik Wydziału Oświaty Pozaszkolnej i t. d. i t. d.

Z przemówienia p. Marjana B. Godeckiego, stojącego na czele Szkoły dla Dorosłych, dowiedzieliśmy się między innymi, że w r. ub. było 54 zespoły o 1.635 słuchaczach. Pracowały one w 3 Ogniskach dla Dorosłych, 7 — dla młodocianych od lat 14—18 — (4 ogniska specjalnie dla dziewcząt, 3 — dla chłopców). Ze 155 osób, które, skończywszy kurs II, stanęły do egzaminu, otrzymało świadectwa 152.

Kierownik Kursów, p. Antoni Konewka, odczytał nazwiska absolwentów, poczem wręczał świadectwa słuchaczom każdego Ogniska oddzielnie. Długo nie milknące oklaski wywołało ukazanie się 68-letniego słuchacza III Ogniska, który z kolei wyszedł po swoje świadectwo.

Serdecznie i ciepło przemawiał, jak zwykle, zasłużony pionier na polu Oświaty Pozaszkolnej, prezes Towarzystwa Krajoznawczego, p. Aleksander Janowski.

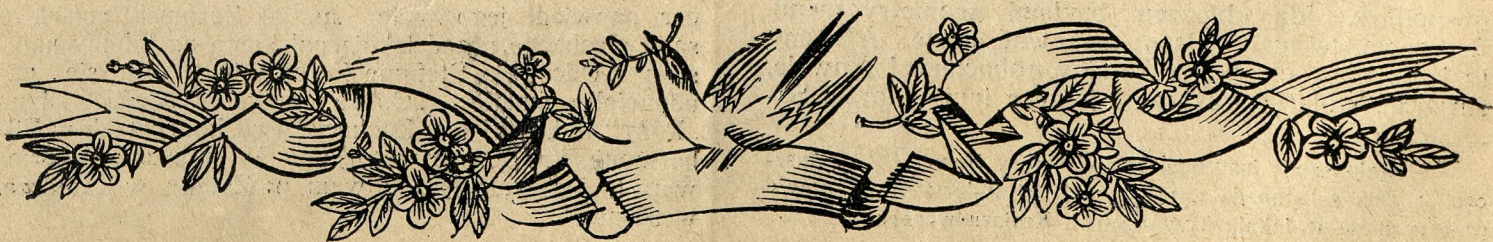
Oglądał bogate żniwo, zachęcał do dalszej pracy.

152 synom Polski sprawiedliwość się stała. W ciało oblekły się słowa Konstytucji, której art. 118 głosi: „W zakresie Szkoły Powszechnej nauka jest obowiązkowa dla wszystkich obywateli Państwa“. I kiedy Ojcowie i Matki nie mogli, czasu wojny, czy w gorszym jeszcze okresie niewoli, dopełnić nakazu art. 94: „Obywatele mają obowiązek wychowania swoich dzieci na prawych obywateli Ojczyzny i zapewnienia im, conajmniej, początkowego wykształcenia“. Gmina dopomogła w tem już dorosłym. Do przedstawicieli miasta też zwrócił się z przemową słuchacz, p. Mrowiński, aby nie szczędziło wydatków na cel tak ważny.

Następnie zebrani wysłuchali przez radio pięknego, a pełnego treści odczytu o Kursach dla Dorosłych. Wygłosił go p. M. Godecki. Propaganda na Polskę — niech wstępuje w ślady Matki-Stolicy. Było też przemówienie o znaczeniu radio, szczególnie dla oświaty. Radjowy wreszcie koncert muzyki poważnej zakończył tę imponującą uroczystość.

W dalszy, pomyślny rozwój Szkoły dla Dorosłych, wątpić nie można, gdyż zarząd jej spoczywa w ręku człowieka, oddanego jej całą duszą, pracującego „con amore“, liczba zaś obywateli dorosłych i dorastających, którzy w swojej pracy zawodowej i zarobkowej odczuwają potrzebę wykazania się jakimkolwiek cenzusem wykształceniowym, a w szczególności świadectwem ukończonego powszechnego wykształcenia, stale przecież wzrasta. Drogi, któremi p. M. G. dąży, nie są niewolniczym naśladowaniem zachodnio-europejskich, słynnych skandynawskich, czy amerykańskich — cała ta praca oświatowo-wychowawcza dostosowana jest do psychiki, specyficznie polskiej, życia w nowobudującym się państwie, no i warunków czasu powojennego. Uczelnie te, to twórcy przytem żywe, podlegające ciągłej ewolucji.

Józefa Gażyńska.



ZAMIĄST RADJA.

Pozadomowa praca matek.

I.

Na III zjeździe Międzynarodowej Konfederacji Chrześcijańskich Związków Zawodowych p. Maria Baers, Belgijka, wygłosiła odczyt o wpływie najemnej pracy mężatek na życie rodzinne. Na podstawie tego przemówienia, zjazd powziął szereg ważnych uchwał, które można uważać w danej sprawie za opinie nie tylko reprezentowanego na nim odłamu ruchu robotniczego, lecz całego świata polityki społecznej.

Opierając się na ankiecie niemieckiej z 1898 r., na spisie ludnościowym belgijskim z 1896 r. i na spisie, przeprowadzonym w Stanach Zjednoczonych w 1920 r., oraz na różnych innych źródłach statystycznych, można ustalić odsetek mężatek wśród robotnic przemysłowych na 20 do 25%.

Należy na tem miejscu zaznaczyć, że niewielka anketa, przeprowadzona niezależnie od prac powyższych, przez podinspektorkę pracy, p. Marię Kirstową w przemyśle warszawskim, określa ten odsetek u nas na 45%, co może i odpowiada naszym stosunkom gospodarczo-społecznym, w których niskie zarobki głowy domu, zmuszają kobietę do uzupełnienia dochodów rodziny, swoją pracą. Że głównym, jeżeli nie wyłącznym, motywem pracy mężatek jest niedostateczny zarobek męża, stwierdza wyraźnie wspomniana już anketa: praca zarobkowa — według tej ankiety — jest nieuniknioną koniecznością dla wdów, kobiet, nieżyjących z mężem, lub mających mężów chorych, albo niezdolnych do pracy i wreszcie dla „tych, niestety, tak licznych istot, które los złączył z pijakami, próżniakami lub utracjuszami, pozostawiającymi na barkach żony troskę o los rodziny“. Niekiedy kobieta pracuje na utrzymanie domu tylko przejściowo, n. p. gdy mąż odsługuje powinność wojskową, odsiaduje więzienie i t. d. Najczęściej jednak — mówi w dalszym ciągu anketa niemiecka — mężatki pracują narówni z mężem w celu uzupełnienia dochodu, nie wystarczającego na opędzenie potrzeb rodziny. Prawda ta dotyczy zwłaszcza rodzin robotników niewykwalifikowanych, wyrobników. W sferze robotników lepiej usytuowanych zarobkowanie żony uważa się nawet za coś w rodzaju ujemy.

Francuska anketa, ujmując naogół motywy pracy mężatek w ten sam sposób, zaznacza, że prócz mężatek, zarobkujących z konieczności, biorą się również do pracy poza domem młode kobiety, nie zdające sobie sprawy z materialnej i moralnej wartości ich pracy wewnątrz rodziny.

Tyle o przyczynach pracy pozadomowej mężatek, przyczynach, które, jak wspomnieliśmy, przy niskim wynagrodzeniu pracy najemnej w Polsce mogą być uważane za całkowicie miarodajne i w naszych stosunkach. Skutki tej pracy rozpatrywane są przez p. Baers przeważnie od strony jej wpływu na dzieci — wpływu fizycznego i moralnego. Skutki te dają się streścić w dezorganizacji życia rodzinnego i w zaniedbaniu dzieci, a nadto w mniejszej odporności organicznej niemowląt, których matki zmuszone były do zarobkowania przed ich przyjściem na świat.

Przeprowadzone pod sam koniec ubiegłego stulecia badania lekarskie członka paryskiej Akademii Medycznej, profesora Pinarda oraz prace Letourneura doprowadziły do wniosków następujących:

1. Kobiety, pracujące ciężko fizycznie, wydają na świat dzieci mniejsze, niż matki, których praca jest lekka.

2. Bez względu na zawód matek, wypoczynek ich podczas ciąży wpływa na wyrównanie wagi niemowląt, którym dają one życie, przyczem waga ta jest o wiele wyższa od wagi niemowląt, których matki nie korzystały w tym okresie z wypoczynku.

3. Jeżeli przeto korzystne jest dla dziecka, gdy matka nie pracuje ciężko, to jeszcze korzystniejsze jest, by miała ona możliwość zaniechania pracy w okresie ciąży.

4. Stąd apel o umożliwienie przyszłym matkom wypoczynku.

Myśl społeczna państw cywilizowanych, raz wszedłszy na tę drogę, dała z czasem nowe przepisy ubezpieczeń społecznych, stanowiących część ogólnego ubezpieczenia macierzyństwa. Do ważnej tej sprawy powrócimy oddzielnie w jednym z najbliższych numerów naszego pisma.

M. B. Ł.



IRENA KOPCZYŃSKA.

Z TĘSKNOT I BUNTÓW LITERATURY WŁOSKIEJ

(Dokończenie).

Rozpatrując stosunek jednostki do państwa, narodu do własnej przeszłości i tradycji, klasy do organizmu społecznego i całokształtu kultury, Oriani nie mógł pominąć w obrazie harmonji i kontrastów życia i tego stosunku, który jest jakgdyby pierwowzorem wszelkiej harmonji i wszelkiego kontrastu; nie mógł pominąć stosunku wzajemnego mężczyzny i kobiety.

Znał on i rozumiał wagę sił i żywiołów, stosunek ten kształtujących. Widział, jak bodaj nikt inny podówczas, że od poziomu, na jakim stosunek ten się ustala, zależy ogólny poziom życia narodowego, że każda z największych nawet idei, powołana do przewodniczenia światu, egzamin zdaje nie tylko na pobożewiskach lub polach organizacji społecznej, ale także — i może

przede wszystkim — w zakresie domowego ogniska, w promieniu dwojga serc ślubujących sobie wierność. Zwycięstwo chrześcijaństwa czyż nie wtenczas dopiero stało się zupełnem, gdy zapanowało nad brzaśkiem wzruszeń, najzdrośniej strzeżonych, wnosząc ideał współżycia duchowego tam, gdzie istniała tylko drapieżna chciwość rozkoszy?

To też gdy płomień miłości przygasa i obniża się w jakiejś epoce, obniża się zarazem cała temperatura życia. Wiedną natchnienia artystów, pustoszeje nauka, dziczejże życie społeczne i polityczne. Bezinteresowna miłość do kobiety jest przedświtem wszystkich innych w sercu mężczyzny odmian bezinteresowności; ofiara u jej stóp złożona jest zapowiedzią i pobudką wszelkich innych ofiar, podobnie jak jej uśmiech jest początkiem wszelkich zdobyczy i zwycięstw. Kto nie zaryzykuje życia dla miłości kobiety, ten nie poświęci go ani dla ojczyzny, ani dla ludzkości. Nienapróżno obrona kraju wyrosła z elementarnej walki o bezpieczeństwo własnej żony i dzieci, a każdy niemal naród uosobienie ojczyzny widzi dotąd w postaci kobiecie: „Polska“, „La France“, „Italia“, „Rossija“, „España“.

W tych imionach żeńskich żyje ślad dziejowy, że znic, płonący przed ołtarzem ojczyzny, powstał z ognia, zapalonego przed posagiem kobiety. Cóż więc dziwnego, że gdy blednie jeden, ulega przyćmieniu i drugi? Gdy miłość cofa się przed poświęceniem, ambicja z pewnością cofnie się przed odpowiedzialnością. Gdy sztuka wyrzeka się rządu dusz i chce tylko rozrywką służyć ogółowi, spadnie poniżej zamiaru nawet tak niskiego i od znudzonej publiczności nie doczeka się tych marnych oklasków, na których chciała poprzestać. Jeśli nauka nie zapamięta się cała w wysiłku walki z tajemnicą, próbując żyć z tego tylko, co zdobyła poprzednio, to i ta zdobycz przepadnie, jak ziarno źle strzeżone. Jedyne stawiając czoło tragedji życia i żądając od kobiety nieosiągalnej prawdy ideału, miłość uczynić może własne klęski mniej beznadziejnymi: „w miłość, rzecz Oriani, kłaść trzeba całą duszę, ażeby zapłonąć w niej mogły także zmysły“. Trzeba zachować czystość, aby móc dostąpić zawrotnych kresów upojenia. Zdrożność, grzech i zepsucie nie znają szeptów ekstazy. Miłość w osobie kobiety jedynej posiadać może wszystkie kobiety, błogosławiąc tej jedynej wybranej — nawet w chwilowej niepamięci bólu. Salomon natomiast, wychodząc ponury ze swego harem, uронił skargę, która przebiegła wieki: „Usta kobiety — rzekł — gorzkie są ponad gorycz śmierci“.

* * *

Kto więc poniża miłość, ten wraz z miłością degradowuje cały obszar życia: tak brzmieć mogłaby formuła dżagnozy, postawionej przez Orianiego społecznemu okresowi.

Okres ten bowiem w jego oczach nie uchodził za dobę upośledzenia lub nadwątlenia ludzkości. Dwudzieste stulecie nie było dlań stuleciem zmierzchu, jak wróżą niektórzy, ale przedstawiało mu się, jako stulecie pomyłonego rachunku i źle obranych dróg.

Wielkie czyny, górne przedsięwzięcia — uczył — nie stanowią szczególnego przywileju pewnych tylko okresów wybranych. Każdy okres stać na najwyższą miarę uniesień; każdy tai w swem łonie potężne namietności, olbrzymie pokłady kochania i nienawiści. I dziś, tak samo jak sto lub tysiąc lat temu, miłość ciska ludzi w zatracenie, skazując słabych i silnych na piekło męczarni, na wygnanie, na więzienie, na śmierć. I dziś, równie jak przed wiekiem, lub przed wiekami, mężczyzna pragnie być kochany, śniąc, przez kontrasty zwąt-

pień i zachwyty, o królestwie władzy, słodsze nad wszystko, bo ogromniejszym, niż świat.

Ale wygnanie, więzienie, lub śmierć, te wieczyste etapy tragedji, stały się stokroć okrutniejsze, niż były, gdyż powszechne zmaterjalizowanie pojęć odjęło im ów charakter, który stanowił ich ostatnią pociechę: charakter ofiary, złożony z życia wobec czegoś, co stoi ponad życiem. „Chciano — powtarza raz jeszcze Oriani — wytracić berło z rąk miłości, a oto strzaskano koronę życia“. Chciano powodować się rozumem, ujmując życie w rachunek arytmetyczny, a oto obliczenie zawiodło, i suma stała się mniejsza od swych składników.

I tu docieramy, wraz z Orianim, do źródeł tragizmu, będącego tragizmem miłości społecznej: jej mądrość materialistyczna rozstała się z poezją, zaprzeczając w tej rozłace jednocześnie wszystkie momenty bujnej i rozległej gamy. Znikła idylla poranku, pachnąca urokiem świeżości, znikło południe złote i upalne; znikł zmierzch, mający w oczach łzy cichego smutku; znikł wieczór, zapadający w oczekiwaniu ostatnich objawień. Grzech przeciw miłości stał się karą sam dla siebie, gdyż nie stać go na szczerą pożądaną i na wykwin formy: kobieta na targowisku światowem bywa dla mężczyzny tylko motywem próżności, wykładnikiem bogactwa; warta jest tyle, ile skupia zazdrości na swym posiadaczu, i jakkolwiek ten ostatni nie zawsze nawet ze swych praw korzysta. Kobieta ze swej strony widzi w mężczyźnie rodzaj impresarja, który wobec publiczności uwydatnia jej walory niewieście. Gdy przychodzi godzina wyboru, jakże często nie wybiera sama, ani zostaje wybrana, ale poprostu zawiera transakcję, lub staje się przedmiotem transakcji.

Teoria i praktyka industrializmu wyrzyła swą pieczęć także na małżeństwie. Instytucja wiary i miłości częstokroć zamienia się w spółkę handlową. Małżeństwo — to nieraz tylko dwie fortuny dodane do siebie; lub posag dodany do profesji; lub tytuł dodany do posagu, o ile poprostu nie — dwa dodane do siebie apetyty, spólnie poszukujące żeru. Zdrada małżeńska? Nawet ona uległa degradacji. Z chwilą, gdy kobieta, sprzeniewierzając się małżeństwu, jako żona i matka, zatraciła poczucie dramatu, co właściwie składa ona w ofierze swemu kochankowi? Pozycję towarzyską i konwenans społeczny. W teorii wszakże i w praktyce industrializmu każda pozycja stracona daje się z powrotem odzyskać, konwenanse zaś społeczne bywają zawsze dość elastyczne, aby nie dać się zbyt łatwo znaki.

* * *

A przecież z dna najgłębszego spopolitowania miłości wybucha protest, zwiastujący jej królewskość! Kogo do samobójstwa popchnęło gaśnienie urody kobiecej? — pyta Oriani — tych, którzy w kobiecie szukają tylko czary upojonego wina. I dodaje: — A ileż serc pękło z rozpaczki wobec zdrady lub kaprysu drugiego — jedyne — serca? Gdzież jest libertyn dostatecznie szczery, aby zgodzić się na wielość posiadania w kobiecie wybranej? Grzech wobec miłości zaprzecza sam sobie: dlatego to jego adeptci, próbując wyszydzić ideał, popadają w łatwowierność, karmiąc się pozorem ideału, i na padolach kłękają wobec tego, przed czem nie chcieli czoła pochylić wśród wyżyn.

Starożytna pogańska hetera, uświatniająca ucztę Peryklesa, lub wille Petroniusza, miała w sobie wdzięk i polot bogiń greckich, niosąc oczom śmiertelnych coś z triumfu nieśmiertelnej młodości. Dzisiejsza kurty-

zana żyje w upokorzeniu swoich własnych zwycięstw, naśladować w strojach i w etykiecie formy tego świata, który ją wyobcował.

To, co w cywilizacji antycznej było harmonią i szczerością, stało się zgrzytem i fałszem w cywilizacji naszej. A jednak do ideałów antycznych niema drogi powrotu. Chrystjanizm, który przełamał dzieje ludzkie na dwie odrębne ery, największą, być może, erę stworzył w dziejach miłości, uskrzydłając serce mężczyzny i kobiety tęsknotami, których ono nigdy już zapomnieć nie zdoła.

Miłość orientalna, greko-rzymska, przeminęła, aby nie odrodzić się więcej. Kobieta zyskała wartość wyższą, miłość stała się bardziej wymagająca i wyłączna. Mężczyzna dzisiejszy nawet od miłości przelotnej żąda głębszej wymowy porozumień. Gdy kocha, pragnie być stawionym wyżej nad innych, wybranym w sposób szczególny, jeśli nie bezwzględny, wśród wszystkich. Kobieta stała się indywidualnością duchową, do której dotrzeć i którą zdobyć trzeba, aby móc posiadać w niej źródło radości i ukojeń. Wierność stała się naczelnym wymaganiem miłości, a pierwszą cnotą kobiety — jej czystość dziewicza, wszelako ponad dziewictwo ciała wyniesiono dziewiczość serca, t. j. niepokalaną w duchu zdolność do uczuć szczyrych i bezinteresownych.

*
* *

Któż nie pamięta Marji Magdaleny? Między duszą tej postaci ewangelicznej, a literaturą społeczną powstał jakiś tajemny związek, który sprawia, że najwybitniejsi pisarze czasów naszych szukali w imieniu Magdaleny symbolu dla swych najbardziej wewnętrznych przeżyć. Dość wymienić nazwiska takie, jak Meterlink, Daniłowski, Andrejew, Papini. Ale nikt z pośród ludzi swej epoki przed obrazem Marji z Magdali nie przystawał tak często, nie zatrzymywał się tak długo, jak Alfred Oriani. Dla niego postać ta była czemś więcej, niż symbolem osobistego dramatu, uwiecznionego pieśnią zbawienia. W nawróconej grzesznicy widział on uosobniony przełom dwóch epok: wraz z Magdaleną pojęcie miłości pogańskie, antyczne, przeszło w pojęcie chrześcijańskie, nowoczesne. Magdalena była dlań żywym świadectwem cudu, jaki zdolny sprawić duch, gdy na poniewierkę ludzką spojrzy ze swych nieskazitelnych wyżyn. Magdalena była kurtyzaną, po której miłość mężczyzn przeszła jak woda potoków, osadzając nałot bagnisty na jej postaci: ale spojrzal na nią Chrystus, i z nalotu bagna przezyste wykwitły lilje. Oto bohaterka najbardziej strzelistych snów naszej poezji, snów w których miłość staje się improwizacją nieodparta, samofiarą najwyższą. „Któż, jeśli nie Magdalena — pyta Oriani — zapalił w miłości naszej ów nienasycony porryw za bezkresem? Któż, jeśli nie ona, zaszczerpiła w niej torturę wyrzutu, jakim ściga nas wspomnienie upadku?”

Dumania Orianiego zmieniały się w spowiedź, a jego bunt i tęsknoty przeistaczały się w modlitwę, gdy, błądząc wśród wielkich galeryj i pałaców sztuki, wpatrywał się w niezliczone wizerunki Magdaleny, usiłując z pod wielorakich rysów i barw, w jakich

widzieli ją mistrze Rinascimenta, odgadnąć prawdę oblicza, wydobyć jedyną prawdę duszy.

— Piękna, błogosławiona Marjo z Magdali — wołał ku niej żarliwym szeptem samotnika — ty pierwsza wejrzałaś w zagadkę miłowania i poznałaś, że tajń miłości jest głębsza nad tajemnice śmierci! Dusza twoja była bez skazy, gdy uroda twoja jaśniała, jak diament wtopiony w kałużę; być może, przyjmowałaś wszystko, nie sięgając po nic, chwytając się każdej dłoni, jak rozbitek nad przepaścią; płakałaś wspólnie z płaczącymi; śmiałaś się wraz z tymi, którzy się śmieli, długie godziny milczenia spędzałaś z tymi, którzy mówić nie mogli.

Tyś niosła w sobie ideał ery mesjanicznej, w której grzech nawet miał w sobie coś z żaru proroczego, jak cnota, i coś z męki, dającej świadectwo najgłębszym przepaściom ducha. Umysł twój był nieświadcą, ale serce miałaś widzące i wieszczce: dłonie twoje, roniące olejki wonne na głowy rozkoszników, pochylały się być może przedtem nad tapczanem ubóstwa, opatrując rany nędzarza; twoje włosy złociste, godne tego; by otrzeć z pyłu stopy Zbawiciela, służyły być może nieraz wśród nocy bezsennej za posłanie dla twej głowy, obolałej rozpacz. Śniłaś miłość, którąby wyzwoliła z gorzkości twój uśmiech i na nowo zapaliła lampę nadziei, ale nie pytałaś o nic i nie żądałaś niczego.

— Wiedziałaś, że Mesjasz przyjdzie i Mesjasz przyszedł.

— Oczy twe poznały go pierwaj, nim zawołał na ciebie jego głos; i serce twe ugięło się przed nim pierwaj, niż twoje kolana. Nikt nie kochał tak, jak ty. Niczyja miłość nie wleciała tak poprostu i tak cudownie poza grób, jak twoja. Dlatego Chrystus, gdy dla innych jeszcze spoczywał w kamiennym lochu, dla ciebie już był zmartwychwstał. A powstał z martwych, być może, dlatego, że znalazło się jedno będać serce, w którym, mimo śmierci, nie umarł był naprawdę.

*
* *

Dziś, kobiety, idące ponowną drogą Magdaleny, marzą o tej niedościgłej zwiastunce, a mężczyźni czekają jej przyścia, jak ona oczekiwała Proroka z Galilei; oszukani atoli zbyt długim oczekiwaniem, w końcu własną oszukują nadzieję, pijąc ze wszystkich kielichów i ze wszystkich ust.

Czyż męka ciała nie płonie jeszcze żarem dostatecznym, aby od niej zapalić się mógł płomień ducha? A więc, czekajmy!

I Oriani nie zdradził swej tęsknoty. Pozostał wierny snom, które były dlań rękojmią innego świata. Nie osiągnął ideału, który wypiastował w sercu, i — jak przekonamy się — osiągnąć go nie mógł w ramach doświadczenia, które zakreśliła mu jego epoka.

Ale czyż ideał, aby być prawdziwym, wymaga próby ziszczenia? Prawdą ideału polega na potędze jego działania. Ideał żyje, dopóki ma wyznawców. Oriani, dochowując wiary nieziszczalnemu, dowiódł, że istnieją rzeczy prawdziwsze nad sama rzeczywistość.

Rzym, w czerwcu 1926 r.



FELICJA KRUSZEWSKA.

WAKACJE.

*Jesteśmy zupełnie bronzowi i pełni radosnej trwogi;
 bolą nas wszystkie mięśnie, a nie chcą ustać nogi.*

*Jesteśmy zupełnie niemadrzy, śmiejemy się z byle czego,
 Nic nas zasmucić nie może i nic powstrzymać w biegu.*

*Kiedy się słońce stacza i topi w śniadych cieniach,
 już nie chodzimy po ziemi, lecz po palących płomieniach.*

*Okragłą, twardą piłkę ciskamy mocno do góry,
 jemy kremowe lody i słodkie konfitury.*

*Z floweru zamiast do celu walimy prosto do nieba.
 Nie można nastarczyć nam mleka i razowego chleba.*

*Pryskamy na siebie w rzece chłodna, wesola woda,
 suszymy się jak ręcznikiem, pachnąca sianem pogoń.*

*Pieścimy psy i króliki, karmimy jabłkami dzieci,
 wiatr tylko od nas przedzej, i jeszcze przedzej czas leci.*

*Pędzimy przez dni coraz krótsze, przeskakujemy przez nocę.
 Życie jest bardzo zdyszane: ma smak i zapach owoców.*

*Rano się gubi w wieczorze, wieczory się budza w porankach,
 prażymy się w słońcu na górze, na mchach i macierzankach.*

*Gdy las nas nagle zatapia, konamy prawie z przestachu,
 w nozdrza wciąż bije nam fala tysiącznych, mocnych zapachów.*

*Tak gorzko pachną piołuny, a rzeźwo — rzeczne szuwary.
 Płoszymy zielone żabki i nudne, brzękliwe komary.*

*Zmęczenie nam wiąże członki, układa nas na sianie;
 a potem wybucha śmiechem i znika niespodziewanie.*

*Oczy nam prawie oślepy od blasku, barw i kolorów;
 staczamy się, jak do wody, w rosista ciszę wieczoru.*

*To nic, że mina wakacje, że kiedyś przyjdzie jesień,
 że czas nas weźmie, rozdzieli, zmęczy i dalej uniesie.*

*Życie jest takie ciekawe, a przecie dojdziemy do końca.
 Staniamy się, pełni śmiechu, zupełnie pijani od słońca.*

*Dziś mamy lato na ziemi i letnie słońce na górze.
 Kończymy się cali, bez reszty, na ciepłej, różowej skórze.*

Maryli Kowalewskiej poświęcam.



WIATR I MOTYLEK.

5

Skąd wzięłam się na świecie, nie wiem sama. Nie wiedzieli ani wietrzyk, co niósł mię po powietrzu, ani promień słoneczny, po którym leciałam — zwysoka, zdaleka... Zresztą, być może wiedzieli, a powiedzieć nie chcieli. Wietrzyk wprawdzie cały czas rozmawiał ze mną, t. j. powtarzał, nie czekając odpowiedzi: „Pajęczynko ty — biała, wążka pajęczynko!” i zalewał się cichutkim chichotem... A promień słoneczny pieścił mię milczkiem, i grzał, i tęczą sycił moją znikomość. Ale...

„...Pajęczynko ty, biała, wążka pajęczynko... dlaczegoś mi taka nierozmowna? Boisz się mnie, co?... Słuchajno, mała! Bardzo ci się naprzykrzam — gadaj!” I targał mię, okręcał mną, dziwne ciągnąc perory. Było mi smętnie z powodu własnej bezradności.

„A wiesz-że ty choć, pajęczynko, dokąd lecisz? Do cudnej lecim krainy, gdzie są rzeczy bardzo piękne: morza, góry, pustynie... Przepiękne rzeczy! Pajęczynki tam także bywają... inne cośkolwiek. Pajęczynki ziemskie, siodła to na głupców... przepiękna rzecz! A ty... Dalej mówić nie mógł, wskutek przyplwy nieokielzanej wesołości.

„A ja?! A ja, co ja jestem!” spytałam wtem buńczucznie, jako zwyczajnie bywa nieśmiałości, gdy nadrobi miną. Lecz wietrzyk śmiał się jeszcze bardzo długo, zanim wreszcie dosłyszeć mogłam, co następuje: „Ty?... Ty jesteś prosto białą, wążką pajęczynką... Skąd i po co? Pytania te winny być dla ciebie zgoła nieciekawe; jeśli jednak zdażyłaś już zająć się czemś podobnym — temci gorzej!” Tu podśpiewywać zaczął nadzwyczaj przyjemnym tenorem: „Oj głupia ty, głupiutka, bielutka i wążkutka... I szybciej poleciełiśmy w dół.

Czułam, że kraśnieję, tak bardzo wstyd mi było nieznośnej tej, wążkiej bieli. Nawet i promień słoneczny wstydził się pewnie mostem być mi dłużej, bo wiem on także poczerwieniał straszliwie, a potem zbladł zupełnie, myślę, że z oburzenia.

* *

Wieczór był, gdy raz pierwszy zobaczyłam ziemię. Lecieliśmy coraz prędzej. Wietrzyk przestał się śmiać: spoważniał, czy też, prosto, ochłodził. Często witać się musiał ze swojemi krewniakami. Czułam wtedy wielki chłód, a czasem wielki żar.

„...Hej, pajęczynko! Noc już: spójrz w górę. To duże, wyświechtane oblicze — to księżyc, fajdak stary. Uchodzi czasem za cudną królową nocy, ale to czyste banialuki! Te zaś oto pomniejsze błazenki, to gwiazdy. A teraz patrz na dół. Wielka, czarna potęga ciska się w różne strony — i nic! Potów ciężaru własnego nie skruszy — opada wciąż na dno, na dno — i pieni się ze złości, widzisz?! To morze. Ocean Atlantycki, powiadają panowie stworzenia. Ale ty nie wiesz, kto oni... A teraz patrz na gwiazdy, czy na księżyc, byle nie na ziemię, bo to tymczasem nie dla pajęczynek!”

Mnie jednak, choć potulnie patrzyłam na niebo, majaczył ciągle ocean srebrzysto-czarny: słyszałam gromową pieśń... i żał mi było wielkiego złośnika.

„Patrz, patrz na ziemię!” zawołał nagle wietrzyk. „Oto muszę ci przedstawić Alpy, t. j. góry rzec chciałem. Widzisz te błękitnawe, zlodowaciałe wierzchołki? Daremnie prężą się i dumnie patrzają

w niebo: powiem ci, nie sięgną tam, słyszysz?! A wiesz, że są góry i wyższe od tych... Gdybyś była młodziutkim panem stworzenia, powiedzieliby ci o nich w szkole... Przynieśli ci jabłko pieczone i rzekliby coś w ten deseń: te brzydkie zmarszczki na skórze jabłkowej, tyle warte, co piękne góry na ziemi. Ale ty nie zobaczysz, ani szkoły, ani jabłka... Możesz ciągle patrzeć w dół, bo znowu nad morzem lecimy...”

Tak, znowu morze srebrzysto-czarne. Zdawało mi się, że pojęłam niektóre dźwięki tajemniczej pieśni jego: „Cudną, cudną jest ziemia, której pragnę. Cudne góry wysokie, mocne żłaby zębate. Lodowe, miesięczne, czarodziejskie zamki po szeptach nocy. A królują tam trzy siostrzyce: Żalność, Tęsknota i Śmierć...” Dalej pieśń coraz bardziej mi była niepojęta, choć pewnie wychwalała wielkie cuda ziemi.

„Masz tobie i pustynię!” rozległ się znowu cierpki głos wietrzyka. „Biała ta przestrzeń — to piach! A wiesz-że ty, czem był dawniej? Góry to były, góry, wyższe od najwyższych... Tego także ucza w szkołach, żeby młodzi panowie stworzenia, myśleli raczej o marnościach tego świata, niż o pustych jego uciechach. Panowie stworzenia wślają: vanitas vanitatum! A przecie kamienne te, widzisz, wzgórki pustyni, są u nich w wielkiem poważaniu, zwłaszcza, odkąd nauczyli się znowu czytać to, co na nich wiele tysięcy lat temu sami potrafiliby napisać; więc teraz drżą, żeby przyszłe pokolenia z powrotem nie zapomniały...” Tu wietrzyk jał podawnemu śmiać się serdecznie, tylko nie potłumionym chichotem, a dzikim wyciem.

Straszne echa wstały na pustyni. — „Nawet hieny wrażliwe są na żart!” ciągnął wietrzyk. „A ty, pajęczynko, drżysz cała! Ech, wążka ty pajęczynko! Takieby ci pustynie pokazał, gdzie nie piach biały, a biały śnieg leży, śnieg — co nie topnieje nigdy, nigdy! Ale mi ciebie żał, pajęczynko! Patrz ty już lepiej w niebo!... ha, zresztą patrz, gdzie chcesz...”

* *

W żaden sposób nie mogłam się pocieszyć widokiem nieba. Pragnęłam gorąco zapytać piasku, czy niegdyś naprawdę szczytem był podniebnym? Chciałam dowiedzieć się, co marność i co śnieg... a także, kim są panowie stworzenia?!

„Dość! dość!” zagadał nagle wietrzyk. „Coś się tak zapatrzyła w te bestje kamienne pustyni?! Zapewniam cię, że choćby pały się tu do dnia sądowego, nie powiedzą ci nic... Patrz-że w księżyc, a sam powiem coś niecoś o tem, czego sfinksy nie wiedzą”.

Patrzyłam w księżyc i zdał mi się, prawdziwie, srebrną królową nocy. A wiatr szeptał bezustannie: „Widzisz, pajęczynko, piramidy i sfinksy zbudowali panowie stworzenia, bardzo myślący o tem, co zwie się życiem po śmierci... Zrobili więc wszystko, żeby po śmierci ożyć. Wieki minęły. Piramidy i sfinksy wiernie strzegą umarłych, co jakoś ożyć nie mogą. Postarzały się, obce są życiu, co rozbija się o kamienny próg Śmierci. Dwie siostrzyce, Żalność i Tęsknota, pasterkami są biednych tych bestyj. Rozżaliły się piramidy i sfinksy, tęskniące do czasów, kiedy umiały jeszcze, razem z panami stworzenia, wierzyć i zachwycać się wiarą i wiedzą. Obecnie, myślą nad jednym wciąż pytaniem: Kim jest trzecia siostrzyca —

Śmierć? Z tego, że nic nie wymyślą, uczyniły sobie tajemnicę. Tajemniczość albowiem wzbudza cześć w panach stworzenia: co szkodzi, że na dnie czai się próżnia? Tajemnica — rzecz miłosierdzia... hu-hu!“ zawył wtem przeraźliwie.

„...Ale ja tobie, pajęczynko, powiadam wciąż panowie stworzenia, ty zaś nic nie wiesz, kto oni. Widzisz... panowie stworzenia — to najgorsze ze wszystkiego stworzenia. Oni sami, prawdę mówiąc, zadają sobie pytania, głupsze od sfinksowych. Np. właśnie takie, jakimi ty chciałaś się zajmować, gdym niósł cię zwysoka... zdaleka... Skąd są? Czemu są? Po co są? Jeśli zaś zadawać je sobie, odkąd zakosztowali jabłek, i to nawet nie pieczonych, a prosto z drzewa, co zwie się drzewem wiadomości. Lecz Wiedzy Drzewo nie jest Drzewem Życia — rzekł jeden z panów stworzenia, poeta, znaczy się taki pan, co bardzo smutno pisze, a bardzo wesoło myśli, a czasem naodwrot. Rzekł, a wielu bardzo poetów i niepoetów tak samo właśnie myślało, choć nic nie rzekło. Wszyscy oni prawdę myśleli, zapewniam cię!! Ale tymczasem droga nasza skończona. Dowidzenia!“

* * *

Znalazłam się niespodziewanie na siwej głowiznie kędzierzawej trzciny — i dopiero wtedy zmiarkowałam, że księżyc, i gwiazdy, i wszystko niebo wyglądają srodze wymizerowany. Trzcina machnęła głową, starając się najwidoczniej uwolnić od mego towarzystwa, lecz, że się nie udało, poważnie jąla gibotać się wtył i naprzód, poczem w obie strony, co przypominało mi początek mojej podróży — i było mi bardzo przykro, że oto znów bawidełkiem komu.

„Zostaw mię“... szepnęłam, choć innyby twóć krzyknął.

„Zostawić, to ja cię zostawię — a kiwać się nie przestanę; ulubione to nasze ćwiczenie zaranne, nas, wszystkich trzciny — dla jednej pajęczynki zgoła nie zamierzam go poniechać, wiesz? Siedz spokojnie!“

Siedziałam, rozumie się, bardzo spokojnie w rozchełstany czubie trzciny; że zdziwieniem poglądałam po wszystkich innych ćwiczących się trzcinach, po ciemnej, nieruchawej powierzchni małego bajorka, na której, niby płamy świetlne, leżały białe, półrozkwitłe grazele.

„Siedz jeszcze... albo poleciałaś?“ głośno spytała wtem trzcina.

„Siedzę“... odparłam, ledwie dobywając głosu od nagłego wstrząsu.

„A co tak ledwie gadasz? Ciotka ci ryba, co? — Powiedziałaśby lepiej, gdzieś bywała, coś widziała — rozradowałby się w starej trzciny szpik zmurszały!“

„Wedle rozkazu“ — zgodziłam się wnet, zwykłym obyczajem. W krótkich słowach starałam się przedstawić podróż swą: morza, góry, pustynie — i zagadki.

Trzciny wszystkie zasłuchały się, przestały nawet chrwiać głowami, surowo zapatrzone w różowiejącą wodę, grazele zaś całkiem rozwarły złocistą głąb swoich kruży, co znaczyło, podobno, że strzygą uszyna; kilkanaście żab wdrapało się na szerokie, lśniące liście. Zaledwie jednak skończyłam opowieść, słuchacze udali, że cały czas inne wcale zaprzętały ich sprawy, nie zwracali na mnie by najlżejszej uwagi. Trzciny poczęły się znowu kiwać i gwarzyć między sobą o pięknej pogodzie, żaby dały nura, grazele wyprostowały płatki z obojętnością i dystynkcją.

Wtedy stara trzcina zwróciła się do mnie z następującą przemową: „Ty, pajęczynko, wcale dobrze

opowiadasz; być może, masz nawet niejaki dar w tym kierunku. Cała zato opowieść twoja pozbawiona jest, wedle mnie, realizmu: a kto tobie, pajęczynko, powiedział, że ziemia straszna i żalosna, panowie zaś stworzenia źli, szpetni? Ziemię widziałas, jak dotąd, zdaleka tylko, owych zaś nie widziałas wcale... tymczasem ja, sędziwa trzcina, widziałam ich nieraz — i, wedle mnie, o wiele bardziej czuli są od cudnej naszej ziemi!“

Tu zakołysała się gwałtownie. Gdyby trzciny miały serce, możnaby być pewnym, że serce jej mocno zabiło.

* * *

„Łże, pleciuga!“ zarechotała nagle jedna z żab, wysuwając z pod wody płaską, lepłą mordkę.

„A to wcale nie znaczy, że i ty, pajęczynko, nie kłamiesz!“ kwaknęła kumka-sąsiadka. „Wszyscy wy, filozofy, łżecie, dlatego też my, zacni mieszkańcy bajienka, wcale nie zamierzamy słuchać waszego głędzenia“ zakończyły jednomyślnie.

„Czemu tykać suchych liści, którym ni deszcz, ni słońce nie pomogą?“ zaszumiała jakaś bardzo smukła trzcinka i wszystkie, prócz mojej staruszki, powtarzać jej sentencje.

Arystokratyczne grazele powstrzymały się od dyskusji, a może nie wiedziały, co powiedzieć?

„Tak“ — ozwała się nakoniec trzcina-staruszka. „Widywałam-ci panów stworzenia piękniejszych, niż wszystkie piękności świata. Rozmowa ich była dźwięczniejsza niechybnie od pieśni, którą śpiewa morze. Budowali zamki na lodzie pyszniejsze, wyższe, niżli górskie szczyty, oddając je we władzę trzech sióstrzy, którym na imię: Radość, Nadzieja, Życie! Popatrzylili jednak i na mnie nawet i rzekli: biedna stara trzcina, przykuta do swego bajorka; ona nie wie, co szczęście podróżowania na pustyni, ona nie wie, co słodycz wędrówki na Złoty Gród! — Oczy ich świeciły. Mnie od tych oczu stało się lekko i pogodnie: poczułam się wcale nie biedną, ani starą. Wesołaż to pustynia, której świecą takie oczy! Powiadam ci, powiadam, pajęczynko, że oczy panów stworzenia piękniejsze bywają od słońca! — Wszystkie trzciny powiadają wprawdzie, że ja to wszystko źle widziałam, źle słyszałam, że ja to niepoprawna idealistka. Ja wierzę, iż widziałam dobrze, a mówię tak, jak widziałam: uważam się więc za skrajną realistkę. — Ach, pajęczynko, nie znasz ich, nie znasz życia! Ale to nie! Ciesz-że się tymczasem, żeś taka biała i wrażliwa!“

„Oto i ty mnie prześladujesz, dobra trzcino, nie-szczęsną tę moją urodę“ westchnęłam. „Na cóż mi b'el i wrażliwość, gdy smutna, że nie znam piękna?! Gdybymże i ja zapoznać się mogła z cudami życia, gdybym wreszcie widzieć mogła!“

* * *

„Otóż to właśnie!“ zakrzyknął dobrze mi znajomy głos. Wietrzyk cisnął się ku mnie, porwał, uniósł gościncem, wirować każąc razem z pyłem i suchem liściem. Powlókł mię rżyskiem szerokim, po ostrych żdźbłach.

„Masz-że to swoje cudne pajęczyńskie życie na ziemi!“ świstał. „Wyzbyłaś się przynajmniej nudnawej swej bieli. — A teraz dam ci poznać sprawy ludzkich oczu, piękniejszych od słońca!! Patrz!“

Dojrzałam, jak poprzez mgłę, ścieżkę w ogrodzie, dużo zielonych drzew, i krzewów, i traw, i ławę kamienną pod najgrubszym drzewem. Na ścieżce leżały rozsypane, wielkie, dziwaczone kwiaty, napoły już powiędłe. Jeden kwiat został na ławie i był dość

świeży jeszcze: nieprawidłowe płatki tworzyły jak gdyby puszcze, szereg widlastych, purpurowych języków z białymi brodawkami, wynurzał się z ciemnofioletowej głębi kwiatu. Poczula odurzający zapach.

Uprzejmy wietrzyk objaśnił: „Spytajże kwiatu, kto go zabił?”

Ale kwiat nie czekał pytania. Skoro tylko wietrzyk zbliżył się ku niemu, dosłyszałam skargę: „Zabiły, zabiły mnie oczy ludzkie — nieublaganym wyrzutem!” Nic więcej. Dziwaczny kwiat może umarł naprawdę, ale ja byłam już daleko, na krzewie dzikiego jaśminu.

„Teraz wiesz, jak oczy ludzkie mordują! Twoja zaś godzina nie uderzyła jeszcze. Bywaj zdrowa, pokład cię nie znajdę raz trzeci!”

* * *

Zostałam tedy znowu samotna w pachnącej gęstwi jaśminu. Było mi tak smutno, jak nigdy. Któż mię w końcu okłamał, kto prawdę powiedział? Gdzież jest piękne i radosne — i czy wogóle jest?

Zacny jaśmin mówił do mnie mową swoją: „Nie martw się, pajęczynko! Patrz, rosa poranna omyła cię i znowu jesteś biała i jasna, niż wprzód wrażliwsza. Widzisz!? Oto zbliża się dawny znajomy, promień słoneczny, który powiedział mi wczoraj, kto między innymi wędrowcami sunie po nim na ziemię...”

„Jak się masz, pajęczynko!” pozdrowił mię w tej chwili promień słoneczny.

„Jak się masz, pajęczynko!” powtórzył, siadając na jaśminie, błękitny motylek. „Słyszałem wiele o to-

bie od starej trzciny“ ciągnął dalej. „Staruszka miłuje cię szczerze; od niej dowiedziałem się części twej historii, reszty — domyślał się. I powiem ci: ziemia jest piękna, oczy ludzkie są piękne i radość czyniące. Jeśli dziwaczny kwiat, który widziałem, zginął na dobre, zabity ich wejrzeniem — temci lepiej. Dziwaczny kwiat podobny jest dziwacznemu życiu ludzi, gdzie i samo piękno potwornieje. Życie ludzi, których trzcina widziała, proste było — i dlatego w oczach mieli radość, nie wyrzuty. Nie szukali granic prawdom i kłamstwom: ich wiara była im prawdą, ich piękno było codzienne i nieśmiertelne. Takich będzie Gród Złoty. — A przeto, błagam cię, pajęczynko, wierz w moc swoją, w bogactwo barwy swojej; zaufaj, że własną mocą w świat lecisz — tak, jako i ja leczę, kędy chcę, a nie kędy wiatr zawionie! Powiedz tylko, czy wierzysz?”

Błękitny był bardzo w słońcu. — Poczulałam się mocna i swobodna: „Wierzę”.

Wiarą stanęła we mnie prawda moja o mnie. Obleciałam z nią całą piękną ziemię, radując się blaskiem takich oczu, które piękna dojrzą i mocy we wszystkim.

Wietrzyk nie znalazł mnie na krzaku jaśminowym i, bardzo zły, odleciał do piramid, natrząsać się w towarzystwie hien z obłąkania wszystkiego, co żywe.

A ja leczę w świat o własnych siłach i wiem, że do Złotego trafię Grodu, ja, wielobarwna, mocna pajęczynka.



CECYLJA WALEWSKA

PANNA KAMILCIA

Historja prawdziwa.

Wielkie okno mego pokoju zamknięte było tak, jak je zostawiłam na noc, a niebo, gwiazdy — bezbrzeżnie dalekie — wświetlały się w niecoraz bledszym połyskiem. Wtem jakaś bezkształtna, ciemnozielona masa legła na szybach. Nic nie rozróżniłam na razie, prócz galaretowego cielska niby między, niby jakiegoś olbrzymiego zwierzokrzewa. Stopniowo wydłużała się potwora, przybierając coraz wyraźniejsze zarysy. Wydzielili się z galaretowatej masy łeb o wyjaskrawionych, żółtych ślepiach i wąskie, niezmiernie długie łapy o zgiętych drapieżnie, sępich pazurach, które wdzierały się wszystkimi siłami do wnętrza pokoju. Lada chwila pękna pod niemi szyby z lagrowego szkła, i grube cielsko legnie na mnie, przepali mię żółtym ogniem swoich ślepi, zdusi galaretowatą, bezkształtną masą. Czulałam już na piersiach i na gardle przeraźliwie długie, ostro zagięte szpony. Czulałam na całej sobie zimne, oślizgłe cielsko i wpadłam w kamienne, ślepe przerażenie. Chciałam zerwać się, uciec — nie mogłam. Potwora przygwoździła mnie żółtymi swemi ślepiami. Byłam w jej mocy. Porwie, zdusi, przepali.

Półmartwa leżałam, czekając, co będzie. Dech stęzał mi w piersi. Nie mogłam zawołać „ratunku!...” Nie mogłam wydać z siebie nawet głuchego jęku.

Obezwładniła mię trwoga i żółte, wpatrzone we mnie, chciwe łupu, magnetyzujące ślepi.

Mogło tak trwać wieki. Potwora biła o szyby, ale szkło lagrowe mocniejsze było od hardych, przeraźliwie ostrych szponów. Chwila jeszcze — ostatnie szamotania się zwyrodniałego cielska — ostatni loskot — ostatnie uderzenia w okno i — koniec mojej męki — zginę.

Wtem — zaciemniły się przestworza. Gruba ściana, niby z czarnej krepy, albo z mrocznych oparów, zastawiła okna od zewnątrz. Jeszcze wskroś niej połyskiwały żółte ślepi, ale już coraz dalej, coraz nikle. Galaretowate cielsko odpływało po linii poziomej ku południowo-wschodniej stronie naszego mieszkania — z lewa na prawo, gdzie za jadalnią był pokój mego męża, kuchnia i alkowa Kamilci. Żółte ślepi jeszcze patrzyły we mnie, ale za krepą mgieł straciły grozę szatańską.

Obudziłam się, zmęczona snem — kłatwą, która — kto wie — już może czekała na nas, przyczajona w wyrokach dni następnych.

Przestałam patrzeć w okno na słońce, niebo i gwiazdy. Widziałam w niem już tylko potwora, który czyha na spokój i bezpieczeństwo nasze. Wyczuwałam groźbę dla siebie, czy męża — albo — może —

dla nas obojga, którzy — w starości naszej — zapragnęliśmy odnowy życia.

Radość moja ze słoneczno-hieratycznych nastrojów nowego domu rozwiała się, zaprzepadła. Nie mogłam pracować, nie mogłam myśleć spokojnie. Z okna mojej sypialni patrzyły we mnie łakomie, żółte ślepiec potwory.

— — — — —

W mieszkaniu naszym zaczęły dziać się rzeczy dziwne. Ni ztąd, ni zowąd rozdzwaniały się dzwonki elektryczne, jak gdyby ktoś trącał o nie palcami niewidzialnych rąk. Książka — Słownik geograficzny ziem polskich — tom gruby i ciężki — spadł kiedyś z półki na ziemię, choć mocno był oparty o ścianę. Spadł nad moją głowę, ale nie trącił mnie. A w kuchni powtarzały się zjawiska najzupełniej niezrozumiałe, o których nie mówiłam nikomu w obawie, aby nie posądzono mnie o rozstrój mózgowy.

Kamilcia chodziła spać wcześniej. W maleńkim jej pokoiku przy kuchni — rodzaj alkowy z okienkiem — stało białe jej łóżko i kwiaty na stolyczku. Zimą, czy latem, musiała je mieć zawsze. Za ostatni grosz kupowała róże kwitnące, chryzantemy, albo — wczesną wiosną — stokrotki w doniczkach. Nyża, czy alkowa Kamilci zasłonięta była w ciągu dnia kotarą, żeby nie padały w nią pyły kuchenne. Na noc podnosiło się zasłone dla powietrza i przedporannego światła.

Kiedy koło północy wchodziłam do kuchni po ciepłą wodę dla siebie i męża, Kamilcia spała już zawsze cicho, głęboko. Poruszały się tylko pod falą oddechu złote meszki włosów nad czołem. Drgały leciutko nozdrza małego, zadartego noska. Składały się i rozkładały niewymówionym szeptem różowe usta. Pozatem leżała spokojnie z rękami na kołdrze, albo pod głową.

W starym domu pokój służącej oddzielony był od kuchni zupełnie. Nigdy nie widziałam jej śpiącej. Tutaj...

Pierwszego wieczora myślałam — „złudzenie“... Drugiego — przyczajał się jakiś lek i niedowierzenie. Trzeciego — głęboki smutek i przekonanie, że coś idzie ku nam nieodwołalnie — klęska czy nagły przewrót, — wstrząs demoniczny, który wyczuwałam każdym nerwem.

W biały, jak sad wiosenny, naszej kuchni o tej godzinie, kiedy Kamilcia spała cicho, a ja wchodziłam na palcach, żeby jej nie zbudzić, — odbywały się jakieś misterja. Wirowały leciutko atomy powietrza i w rytm ich — z tą samą ciszą zawrotną — dokoluśka — bez szelestu — poruszały się garnuszki, rondelki, wszystko, co stało na półkach, jak gdyby ktoś niewidzialną pałeczką wprawiał je w ten ruch zaklęty.

Dokoluśka, dokoluśka... Przymykałam oczy i otwierałam je po długiej przerwie, żeby spojrzeć wypoczętym wzrokiem.

Ruch wirowy trwał. Ten sam — bezszelestny — na półkach i w powietrzu — aż podnosił się i opadał nieznanie papier na kominie.

Pomyślałam: „Może Kamilcia jest medjum“. — I postanowiłam ją wypróbować na jednym z seansów u znajomych.

Ale zbrakło czasu. Wypadki następowały niezmiernie szybko, jak gdyby z góry wyznaczona była kolej ich i tempo.

Któregoś wieczora, gdy weszłam do kuchni na palcach, jak zawsze — było to w dwa tygodnie może po wprowadzeniu się naszym — Kamilcia zerwała się, siadła na łóżku. Oczy jej błyszczały, twarz pałała. Patrzyła przed siebie w jakiś punkt wyraźny, ale daleki. Mnie zdawała się nie postrzegać zupełnie.

— Stryj... markiz... pieniądze... Paryż... dziadek... za Polskę... babka... trup... w lesie... pałac... moskale...

Tępo ze zduszonej krtani obcym, dziwnie przewlekłym w rytmie głosem padały wyrazy. Jak gdyby ktoś za nią mówił. Ktoś — oderwany od niej, a jednak niesamowicie związany z treścią jej pomyśleń.

Opadła na poduszki. Chwilę leżała z zamkniętymi oczami, a potem podniosła się znowu, krzyknęła ostro, przeraźliwie, jak raniony ptak:

— Hrabka krew w poniewierce...

I zasnęła tym swoim cichym, dobrym, łagodnym śnem dziecka bezbronnego.

Nazajutrz stała się rzecz dziwna. Korzystając ze święta, mąż mój wyjechał na cały dzień za miasto z kolegami — wioślarzami. Ja zostałam sama. Kamilcia spytała, o której chcę mieć obiad. — Prosiłam najpóźniej na trzecią, gdyż punkt czwarta musiałam wyjść.

Zrobiwszy porządek w mieszkaniu i ubrawszy się w swój świeży kostium wiosenny, w żółte buciki o wysokich cholewkach — taka była moda — w mały, mocno na tył głowy i prawe ucho nasunięty kapelusz (całą prawie pensję swoją wydawała na ubranie) wysunęła się cichutko z mieszkania.

Czekałam na nią do czwartej. Nie przyszła.

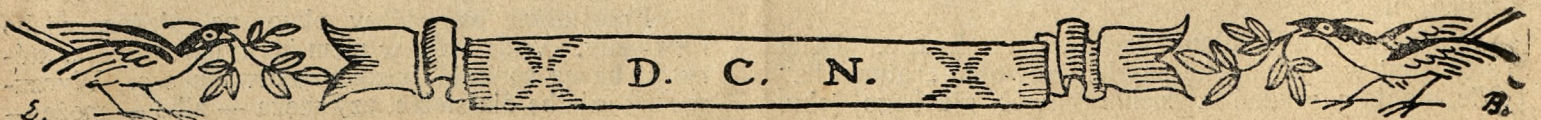
Była niezmiernie punktualna i obowiązkowa. Nie spóźniała się nigdy. Pracę swoją wykonywała z drobiazgową sumiennością. Nie mogłam zrozumieć, co zaszło, że nie stawiała się dziś — po raz pierwszy — na termin oznaczony.

Wyszłam bez obiadu. Wróciwszy wieczorem, zastałam ją jeszcze w tych samych żółtych bucikach, w kostiumie wiosennym i w kapeluszu na tyle głowy. Nie rozbierając się, czekała na mnie i padła mi do nóg z płaczem. Przepraszaniu nie było końca.

— Nie mogłam... nie mogłam, proszę pani. Musiałam być u siostry. Rzeczy ważne. Chciałam... myślałam, że ona wie imię pradziadka naszego... markiza... To bardzo potrzebne. A także lata, w których urodził się i umarł... Tymczasem... on, jak przyszyty, ciągle przy nas. Ani chwili bez niego. Widocznie zmiarkował, że mówiliśmy wczoraj o tem. Nie znosi, żeby Walcia była sama ze mną. Czekałam. Nic z tego. Prosiłam, żeby mnie odprowadziła przez podwórce do furtki. On z nami. Więc zabrałam się i poszłam do domu. Pieszko w dwie strony, bo zapomniałam pieniędzy na tramwaj, aż mię rozsadzało. Wiedziałam, że się spóźnię, ale nie mogłam. Musiałam, musiałam... i... napróżno.

Oczy jej błyszczały, pierzchliwe, niespokojne. Wargi, ręce drżały.

Uspokoiliam ją. Kazałam rozebrać się i przygotować przeciętka ów obiad spóźniony.



Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

25

Na ponawiane usilnie nalegania książąt, król, ociągający się początkowo, przybył nareszcie, 7-go września, do St. Denis. Tu, nad grobami swych przodków, widząc w starym kościele tradycyjne insygnia, których mu brakowało przy koronacji, — powinien był poczuć się żywiej prawym królem tej ziemi, panem jej stolicy.

Może na to pierwsze wrażenie liczyła Joanna, dając hasło do ataku zaraz nazajutrz, 8. IX, mimo święto Matki Boskiej. Jak zeznawała później z naciskiem, „Głosy“ nie doradzały jej tego wyraźnie, pozostawiając ją w owych czasach więcej własnemu sercu i inicjatywie. Przystąpiono do działania pod jej kierunkiem, około południa, ze znacznym materiałem oblężniczym. Okazał się on jednak jeszcze za słaby, wobec niespodziewanej przeszkody: przekonano się dopiero teraz, że wielka fosa, tuż pod murami, była cała napełniona wodą.

Lecz Joanna nie traciła otuchy — tak, jak pod Troyes, zwoływała ludzi, każąc im sypać groble, z czego się tylko dało. Słońce już zachodziło, gdy, stojąc między dwiema fosami, sondowała sama lanca ich głębokość — w owej to chwili pocisk nieprzyjacielski przeszył jej udo.

Z całą zimną krwią rozkazała zaraz, by ją przeniesiono w bezpieczniejsze miejsce. Ztamtań, mimo okropny ból, kieruje niezmordowanie dalszym atakiem, zapewniając ciągle o możliwości zwycięstwa. Lecz brak jej sił, by dźwignąć się, jak pod Orleanem, i osobiście prowadzić zastępy. Jej rana, daremne próby powstania w mieście — wszystko to zniechęca oblegających. A ona, choć ciałem bezwładna, trzyma ich na uwierzy: niezdolna już porwać w zupełności, powtarza jednak uporczywie, że tu chce umrzeć lub widzieć miasto zdobyte!

Późną już nocą słabość ludzka odnosi pierwsze walne zwycięstwo nad natchnieniem: zrozpaczoną Dziewę unoszą przemocą towarzysze do obozu.

— „W imię Boga! — jęczy ona — niewiela brakło, a wzięlibyśmy gród!“

Istotnie, brakło tylko żywego jej przykładu, aż do końca. Kuszenie się o Paryż nie większem było szaleństwem, niż odsiecz Orleanu, niż wyprawa na Reims. Ale w to obleżenie nikt, prócz Joanny, nie wkładał całej duszy: król liczył na układy, książęta spodziewali się, że mieszczanie sami otworzą bramy. Tak więc ona jedna tylko traktowała ów szturm, jako coś więcej, niż demonstrację zbrojną.

Straszna to była dla niej noc... na krótkie chwile jeno zamykało znużenie rozognione łzami oczy. Ze świtem zrywa się, mimo poważną ranę, i konno przebiega obóz, namawiając wodzów do ponownego ataku. I byłaby porwała za sobą całe wojsko — do zwycięstwa może — gdyby nie zdecydowany opór króla, kuszonych znów pięknymi obietnicami przez burgundzkie wysłańców. Cóż ich kosztowało obiecywać złote góry, byle stolicę ocalić swemu panu?

Jakaż burza wrzała w piersi rycerki, podczas krótkiego teraz pobytu w Saint-Denis! Raz, dopadłszy jakieś ładacznicy obozowej, wyplazowała ją własnoręcznie, z taką siłą, aż szabla potrzaskała się w kawałki. Niewiadomo, czy była to święta broń z Pierbois, czy miecz zdobyty na harcach pod Paryżem. W każdym razie wypadek ten zrobił silne, a przynębiające wrażenie na przesądnej duszy wojska i ludu.

Ranę swoją leczyła Joanna, jak zwykle, ignorując ją *) całkowicie. Czyżby mogła uleżeć w łóżku, sam na sam z tą goryczą porażki, z tą niegasnącą do ostatniej chwili nadzieją, że może uda się jeszcze pchnąć króla na Paryż? W chwili nieuchronnego już powrotu nad Loarę, składa uroczyście zbroję swą, jako wotum, na ołtarzu św. Djonizego. Tak czynili w owych czasach rycerze, na podziękowanie za uleczonej ranę. Czy istotnie ucieszyła się wtedy, że wyszła żywa z pod murów Paryża?...

W Gieu rozpuszczono wojsko, którego nie było czem płacić — i król odetchnął z ulgą od nawału ważnych decyzji i trudów podróży. Wielka kampanja skończona! Pozostał mu tylko jeden ciężar niezbyty, ciężar zaiste ponad jego siły: Joanna d'Arc!

„Zrozumiał ją na początku i okrył pastereczkę swym królewskim płaszczem. Lecz była to jedna z tych godzin rozpacz, gdy człowiek, nie mając już nic pomiędzy sobą, a śmiercią, widzi rzeczy takimi, jakimi są w istocie. Stałe jednak we wzlocie utrzymać się niepodobna...“

A pewnie i przykro mu było, że tłum na ulicach odzyskanych miast więcej hołdów składał jej, niż jemu samemu, monarche. Bolały go może te frenetyczne pocałunki, rzucane rączkami od ust dziecinnych, te łzy zachwyty, płynące po zwiędłych obliczach starców, kwiaty, słane pod kopyta jej rumaka, ten okrzyk namiętny: „Dziewa! Dziewa!“ idący wszędzie za obojgiem...

To samo dzieje się w Bourges, gdzie spędzają teraz wspólnie 3 tygodnie. Otoczona ciągle tłumami ludu, wpatzonego w nią, Joanna mówi ze słodyczą:

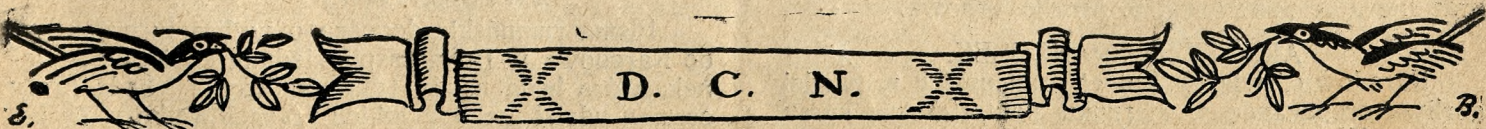
— „Ubodzy cisną się do mnie radzi: jam zesłana ku pocieszeniu biednych i uciśnionych“...

Nie odmawia też częstym prośbom kobiet, by dotknęła swymi dłońmi medalików ich i szkaplerzy. Lecz później, pytana poufnie, czy istotnie posiada moc uświęcenia w ten sposób przedmiotów — zwierza się honorowej damie dworu*), u której mieszkała, w jakiejś chwili wesołej szczerości:

— „Tykajcie ich sami! Od waszych, czyli od moich rąk, jednako dobre będą“.

*) G. Hanotaux.

**) Małgorzacie „La Touroulde“.



JANINA MASZEWSKA - KNAPPE.

TAJNIKI ŚWIATA ZWIERZĘCEGO.

3

Charakter uczuć u większości gatunków ptasich jest głęboki, trwałe i niesłychanie delikatny. Stosunek samca do samicy jest tam wprost przemily. W okresie starania się o nią, o pozyskanie jej sobie, uczucia swoje wyrażają samcy śpiewem, pieszczotami, postawą błagalną, ruchami rytmicznymi. W ciągu tego to okresu „zalotów“ obie te płcie, samiec i samiczka, wzajemnie się uczą poznawać, przyzwyczajają się do siebie, łączą się w swej myśli i dochodzą do tego, że, połączone już w parę, nie są potem w stanie się rozłączyć. Znane nam są, wprost przysłowiowe, papużki, zwane „nierozłącznymi“. O sikorach opowiada Brehm, że okazują sobie niesłychaną czułość. Samiec z samica siedzą w nocy jedno obok drugiego, przytem samiec zwykle okrywa samiczkę swoim skrzydełkiem. Śmierć jednego — zabija niechybnie drugie. Dziecióły należą do ptaków łączących, które, jak wiemy, zwołują się za pomocą stukania w gałęzie. „Samica“, opowiada Brehm o jednej parze, którą miał w klatce, „zachorowała i umarła. Trudno opisać coś bardziej wzruszającego, jak boleść samca. Przez cały czas nie przestał wołać swej samicy, bębniąc dziobem bez przerwy. Noc nie przyniosła mu ulgi — nie spał, stukał, w końcu ucichł i został już apatyczny i osowiały. Żył potem bardzo krótko“. Ogromna wierność panuje u ptaka brodzącego — Jabiru. Tam pary nie rozłączają się nigdy. Zabawiają siebie wzajemnie czemś w rodzaju tańca; gdy jedno jest zabite, drugie nie łączy się już nigdy w parę. To zresztą możemy zaobserwować i u hodowanych tak często u nas po wsiach — perliczek. Gdy jakaś para zostanie rozbita, pozostała sztuka błąka się długo samotnie, w końcu przyłącza się do którejś z par, sobie sympatyczniejszej, ale tylko w roli towarzysza, lub towarzyszki idealnej. Jajka samicy — wdowy są zawsze niezaplodnione i bywają używane w gospodarstwie tylko do gotowania, nigdy do wylęgu.

Gdy ptaki, połączone już w pary, ścielą sobie gniazda, samiec znosi budulec cięższy i trudniejszy do zdobycia, samiczka zaś buduje najdelikatniejsze tylko części gniazda i urządza miękkie posłanie dla jajek i przyszłych piskląt. Samiec otacza wtedy samicę swą ogromną tklivością, przez cały okres wysiadywania jajek znosi jej pożywienie, wykonywa moc piruetów w powietrzu, aby ją zabawić, oraz śpiewa

jej godzinami, jak to znane jest ogólnie u słowików n. p. Kilka razy dziennie samiec zastępuje samiczkę w ogrzewaniu jajek — aby sobie trochę pofruwała. Loty jednak takie samiczek wtedy są tylko dla wyprostowania skurczonych dniami całymi skrzydełek, trwają krótko — samiczka bowiem wyraźnie niepokoi się o swoje jajka i niedowierza w umiejętności ogrzewania ich — swemu skrzydlatemu mężowi.

Wszędzie, tak dobrze u ssących, jak też i u ptaków — kamieniem węgielnym rodziny jest miłość macierzyńska. W chwili, gdy pisklęta się wykluły, samica czuje i rozumie do pewnego stopnia, że te pisklęta są częścią niej samej, że należą do niej. Są one z niej — a zatem miłość „samej siebie“ rozciąga się i na tych, co powstałi z owego „siebie“ — zamienia egoizm na sympatię i miłość, instynkt zaś własności — na popęd troskliwości. Samiec odczuwa coś w tym rodzaju, wyraźnie jednak, jak to podkreśla Brehm, nierzeczywiście piskląt u ptaków, wzmacniają przywiązanie ojca do matki. Odczuwanie przez dłuższy czas wspólne trosk i radości, ów wspólny, żywy przedmiot czułości rodzicielskiej, przykuwa serce ptasiego męża, przede wszystkim i nad wszystko, do jego żony!

Węzły, łączące w rodzinie ptasiej rodziców z dziećmi i naodwrot — są również niesłychanie mocne. Życie bowiem potomstwa zależy od nich, z ich zerwaniem — gaśnie. To też pisklęta, w miarę wzrostu i poczucia własnej słabości, uświadamiają sobie zależność od rodziców — są im podległe i stosują się z całych sił do ich żądań. W rodzinie ptasiej rozwinięte jest systematyczne wychowywanie i kształcenie dzieci. Wymiana nieprzerwana znaków, ostrzeżeń, zachęty — nieraz wyrzutów, na które małe żywo reagują. Rodzice mają w stosunku do swych piskląt niesłychaną wprost cierpliwość, a niektóre metody ich nauczania są ogromnie ciekawe. Np. drapieżny ptak Argos wynosi swe małe na grzbiecie wysoko w powietrze, aby je zmusić do lotu. Wiele ptaków wodnych czyni tak samo, pływając, np. łabędzie surynamskie i nury. Te ostatnie, gdy niebezpieczeństwo grozi ich małym, biorą je pod skrzydła i znikają z nimi pod wodą. Zdarza się czasem, że chowają je w piórach na piersiach i unoszą je w powietrze. Bekas postępuje niekiedy tak samo.

(c. d. n.)

Kobieta w Świecie i w domu

CZESZKI — CZŁONKINIAMI AKADEMJI NAUK.

Czesko-słowacka Akademia Nauk otworzyła swe podwoje przed kobietami, przyjmując poraz pierwszy do liczby swych członków wybitne pisarki czeskie: panią Elizkę Krasnohorską, panią Gabrię Preissową, oraz literatkę morawską, p. Amelię Urbową.

PARJOTYZM FRANCUZEK.

Narodowy Związek Kobiet Francuskich prowadzi gorliwą propagandę w kierunku podtrzymania kursu franka. W tym celu urządzona była wielka manife-

stacja narodowa, obejmująca cały szereg odczytów, wieców publicznych, oraz produkcji artystycznych, w których wzięli udział najwybitniejsi artyści. Dochód z tych przedstawień obrócony był w całości na dar dla skarbu.

ZWYCIĘSTWO RUMUNEK.

Pisma rumuńskie donoszą o wybraniu przez Radę Narodową w Bukareszcie siedmiu kobiet — posłanek, które będą nosiły tytuł „radczyń“ i będą brały czynny udział we wszystkich pracach Rady, w szczególności zaś, w akcji opieki społecznej.

POWODZENIE AUTORKI FRANCUSKIEJ.

Największym powodzeniem w Anglii cieszy się obecnie literatka francuska, pani Marion Gilbert, której powieść pod tytułem „Jazmo“, przetłumaczona na język angielski, rozeszła się odrazu w Wielkiej Brytanji w ilości kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy i w przeciągu kilku miesięcy doczekała się kilku wydań.

„NAJWIĘKSZA KOBIETA INDYJ“.

Najgorliwszą patriotką i najbardziej zasłużoną kobietą w Indjach jest bez wątpienia znana działaczka, Sarodżini Naidu, najpopularniejsza — obok wielkiego Mahatmy Gandhi i sędziwego Rabindranath Tagore'go — postać Indyj współczesnych.

W chwili gdy Gandhi, wyczerpany walką z przemocą angielską, zmuszony był usunąć się na czas jakiś na plan drugi, duchowe władztwo narodu oraz faktyczne kierownictwo akcji niepodległościowej przeszło w ręce Sarodżini Naidu. Wielka patriotka potrafiła dochować przysięgi, złożonej swemu mistrzowi i przewodnikowi, toteż, z chwilą usunięcia się Gandhiego, walka nie tylko nie osłabła, lecz, przeciwnie, prowadzona była dalej z jeszcze większą wytrwałością i zaciętością. Sarodżini Naidu stała się wkrótce bożyszczem niezliczonych rzesz Hindusów i mahomekańskiej ludności Azji, Afryki i Ameryki, które widzą w niej swą wybawicielkę od przemocy wrogów.

Postać Sarodżini Naidu należy do najciekawszych z pośród współczesnych typów kobiecych. Natura to niezwykle bogata i wszechstronna, obdarzona płomiennym temperamentem urodzonej bojowniczką, a jednocześnie niesłychanie bogatą wyobraźnią twórczą, wielkim polotem poetyckim, wrodzonym darem słowa. Utwory jej poetyckie, zawarte w dwóch tomach, tłumaczone na język angielski, wzbudzają zachwyty wszystkich krytyków literackich, którzy nie wahają się stawiać ich w jednym rzędzie z najwspanialszymi arcydziełami poezji angielskiej. Przemówienia jej na wielkich wiecach manifestacyjnych, urządzanych przez nią, w Indjach i Afryce, należą do arcydzieł sztuki oratorskiej i wywierają wprost nieprzerpane wrażenie na słuchaczy.

Sarodżini Naidu posiada wykształcenie i kulturę europejską, wychowała się bowiem w Anglii, w kolegium żeńskim w Cambridge. Po powrocie swym do kraju wielka patriotka hinduska wzięła odrazu rozbrat ze wszystkimi naleciałościami psychiki Zachodu i powróciła do najgłębszych podstaw i źródeł duszy wschodniej — do „świętych ksiąg“ indyjskich, które poznała i przestudjowała, a co ważniejsza — przeniknęła się ich duchem, jak mało który ze współczesnych jej rodaków. Sarodżini Naidu jest fanatyczną wyznawczynią nauki prastarych mędrców indyjskich i wierzy niezachwianie, że tylko drogą wiernego wypełniania świętych praw Manu naród jej może odzyskać dawną wielkość i potęgę — zarówno w dziedzinie materjalnej, jak i duchowej.

JAK RÓWNOŚĆ — TO RÓWNOŚĆ.

Pisma francuskie „Eve“, ogłosiło niedawno ankietę na temat konieczności zniesienia obowiązującej dotychczas we Francji kary śmierci. W ankiecie tej wzięły udział najwybitniejsze pisarki francuskie, wypowiadając się przeważnie za zniesieniem tego nieludzkiego prawa. Poruszana była także między innymi kwestja: czy, zanim zostanie jeszcze przeprowadzona reforma, znosząca ustawę o karze śmierci, kara ta powinna być stosowana do przestępczyni płci żeńskiej, czy też tylko do mężczyzn? Znana autorka francuska,

Marcelle Tinayre, gorliwa przeciwniczka kary śmierci w zasadzie, wypowiada się jednakże w tym wypadku za stosowaniem tychże samych praw do kobiet, co i do mężczyzn. Píše ona: „Kamieniem węgielnym hasła równouprawnienia kobiet jest poczucie absolutnej równości obu płci przed prawem, bez względu na to, jakiego rodzaju jest to prawo. Skoro we Francji obowiązuje jeszcze dotychczas kara śmierci — wszyscy obywatele państwa francuskiego powinni, zdaniem mojem, podlegać tej karze w równym stopniu, i, o ile się znajdzie kobieta, która popełni przestępstwo, za które kodeks karny przewiduje karę śmierci — nie powinna jej ta kara być darowana jedynie z tego tylko względu, iż jest kobieta“.

DWA LATA — DWIE SUKNIE.

Księżniczka bułgarska, Eudoksja ogłasza w amerykańskim piśmie „The Cosmopolitan“ artykuł pod tym tytułem. Jak widać ze słów księżniczki, jest ona zdecydowaną przeciwniczką wybryków nowoczesnej mody europejskiej i hołduje raczej modom krajowym, uważając je za znacznie estetyczniejsze.

W ciągu ostatnich dwóch lat — píše księżna Eudoksja — sprawiłam sobie tylko dwie suknie. Ale nawet i te dwa skromne ubrania nie pochodzą bynajmniej ze słynnych „ateliers“ koryfeuszów mody paryskiej: są one uszyte w Sofji, przez tutejszego krawca, a styl ich i wykończenie utrzymane jest całkowicie w duchu ludowym. Sukno, z którego są uszyte, zostało uprzedzone i wytkane rękami kobiet bułgarskich, — ze skromnej chaty wieśniaka bułgarskiego pochodzi również cienkie płótno lniane, którem jest przybrana ta toaleta.

Obydwie te suknie naśladują swym krojem i sposobem wykonania narodowe stroje kobiet bułgarskich. Strój ten składa się z dwu części — białej bluzy w guście koszuli z długimi i szerokimi rękawami i zwierzchniej sukni, zwanej sukmaną, rodzaju spódnicy z gorsekiem z czerwonego sukna, wyhaftowanego w bardzo piękne i oryginalne desenie różnymi kolorami o żywych barwach — ponsowej, zielonej, złocisto-żółtej. Bluzka ozdabiana bywa również haftem, lecz nie tak już skomplikowanym i utrzymanym w bardziej pastelowych cieniach, niż haft na sukni.

W doborze barw i oryginalności rysunku, a także pod względem staranności wykonania tych haftów, okazały się wiejskie kobiety bułgarskie niedoścignięmi wprost artystkami. Jestem głęboko przekonana, że żaden, najsławniejszy nawet zakład hafciarski w Paryżu, nie może się poszczycić tak prawdziwie oryginalnymi i artystycznie wykonanymi arcydziełami sztuki, jakie w moim kraju wychodzą codziennie z pod zręcznych palców prostych i niewykształconych, bo często nawet, niestety, nie umiejących czytać i pisać — hafciarek wiejskich. Toteż gdy wkładam na siebie moją suknię, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jestem ubrana w jedną z tych szat, o których czyta się już dziś tylko w bajkach: w szatę królewską, haftowaną przez wróżki-czarodziejki.

Ale nie tylko dlatego, że zadawalnia on w najwyższym stopniu moje uczucia artystyczne, przyjełam strój naszych kobiet wiejskich za swój własny: czyniłam to również z pobudek praktycznych. Osobiście jestem najzaciętszą przeciwniczką bezmyślnego hołdowania kaprysom mody i uważam za prawdziwie nieszczęśliwe, te kobiety, które, ulegając niewolniczo nadsyłanym im z Paryża rozkazom, zmieniają swój ubiór co kilka tygodni. Dlaczego mam uważać rzecz, która mi się podobała w jednym tygodniu, za brzydką w następnym, jedynie dlatego, że już przez ten

czas ten czy ów „władca mody“ zdażył wymyślić coś nowego? Dla mnie piękno pozostaje zawsze pięknem, a brzydkiej rzeczy nie potrafi mi narzucić żaden rozkaz na świecie. Piękno prawdziwe ubioru kobiecego powinno, zdaniem mojem, polegać zawsze na dwu tylko rzeczach: prostocie i skromności. Tylko przy zachowaniu tych dwu warunków ubiór staje się szlachetnym w linii i nabiera prawdziwie artystycznych, nieprzemijających z czasem, walorów. Bez nich — będzie on zawsze tylko kaprysem jednego dnia, błyskotliwym wybrykiem, pozbawionym wszelkich cech piękna, a więc i trwałości.

Twórczość ludowa ma w sobie właśnie ową iskłę Bożą, która pozwoliła jej przez długi szereg wieków niewoli i ucisku przechować dla potomności, w całym jej czystym, nieskałanym blasku, duszę narodu, jego wrażliwość artystyczną i swoiste poczucie piękna. Dlatego uważam, że my, „Bułgarki, nie potrzebujemy szukać obcych wzorów piękna, mając go tyle wokoło nas i w nas samych.

Pragnęłabym bardzo, aby i wszystkie inne kobiety w moim kraju czuły i myślały, tak, jak ja — aby nie uganiały się za towarami i produktami krajów cudzoziemskich, aby, zamiast kosztownych jedwabi, aksamitów i gaz, nosiły nasze piękne, gładkie sukna krajowe i cienutkie, białe jak śnieg płótna — aby pamiętały o tem, że tylko lenistwem i brakiem jakiegoś poważniejszego celu w życiu tłumaczyć można chorobliwą żądę ciągłej odmiany stroju, wyszukiwanie coraz to nowych i bardziej fantastycznych pomysłów w tym kierunku — podczas gdy prawdziwe Piękno jest zawsze jednakowe, choć nigdy się nie nuży. Prostota i skromność, — a ze względów patriotyczno-gospodarczych dodałabym jeszcze: i oszczędność, — oto są hasła, które na sztandarze swym powinna wypisać dziś każda bułgarska kobieta“.

Czyż pod tym „manifestem“ księżnej Eudoksji nie mogłaby podpisać się każda, rozumna i prawdziwie kraj swój kochająca Polka?

Z. B.

ANKIETA NA TEMAT PIĘKNOŚCI KOBIECEJ.

Przed kilku tygodniami w sali wykładowej, w Sorbonie paryskiej, odbyła się ciekawa dyskusja na temat dzisiejszego ideału piękności kobiecej, przyczem wypowiedzieli się pierwszorzędni malarze, rzeźbiarze, historycy sztuki, literaci, uczeni.

Znany bardzo malarz francuski, Rivalin stwierdził, że ciało ludzkie, zarówno kobiece, jak męskie uległo w ostatnich dwu dziesiątkach lat ogólnemu zeszpeceniu, i że jemu, jako malarzowi, ogromnie jest trudno znaleźć odpowiedni model, gdyż coraz mniej jest na świecie pięknych kobiet i mężczyzn.

Rivalin przypisuje niepomyślny ten zwrot zbytniemu rozpowszechnieniu się modernistycznych tańców, gdyż pozbawione rytmu ruchy wpływają rzekomo niekorzystnie na harmonijny rozwój ciała. Ze zdaniem malarza nie mogli się zgodzić obecni, uznając je za jednostronne, gdyż ideał piękności w ostatnich dziesięcioleciach uległ znacznej zmianie.

Rzeźbiarz Darbeau dowodził, że w oczach dzisiejszej generacji Wenus z Milo jest już najidealniejszym wyrazem piękności. Wielu wybitnych rzeźbiarzy i estetów współczesnych nie znajduje w tem arcydziele sztuki starożytnej nic godnego podziwu. Ideałem piękności czasów powojennych jest garçonka. Smukłe, szczupłe linie ciała, twarz lalki, głowa chłopięca. Trzeba iść z biegiem czasu, Wenus się przestarzała i zbrzydła. Natomiast profesor Gaurdin wystąpił w obronie długich włosów, uznając ostrzyżoną głowę kobiecą za coś przeciwnego naturze. Moda ta

cieszyła się, podobno, wielkiem powodzeniem jeszcze za czasów starożytnych Egipcjan i Rzymian, lecz już wówczas była zwalczana przez wyrazicieli zdrowego smaku i gustu. Św. Paweł, apostoł w swoim liście korynckim nazwał długie włosy niezrównaną ozdobą kobiety. Profesor Gaurdin zauważył, że w wielu miastach dzisiejszej Hiszpanji zakazano oficjalnie kobietom noszenia krótkich włosów, co jednak wywołuje tylko tem większe zamiłowanie do chłopięcej fryzury. Jedyne medycyna propaguje krótkie włosy ze względów higienicznych.

Prędko jednak nastąpić musi reakcja, wykrzykuje profesor Gaurdin. Mężczyzna dla kontrastu powróci do lubowania się w kobiecie z długimi włosami. Co będą robiły wówczas garçonki, które tak niepotrzebnie pozbyły się swych warkoczy i największego uroku?

Z K S I A Ź E K.

Marja Pawlikowska: Pocałunki, Warszawa. F. Hoesick, 1926.

Jakaż tu pisać recenzję o wielokrotnym, króciutkim uśmiechu, którym darzy nas Marja Pawlikowska w swoich kilkudziesięciu czterowierszach, zatytułowanych: „Pocałunki“.

Poprawdzie, każdy zbiór wierszy lirycznych jest jakby intymnym listem, pisanym najosobiściej do każdego z nas, i równie poufnie chciałoby się na ten list odpowiedzieć — także coś zwierzyć i słowami równie słodkimi, jak wiersze — podziękować.

Morze, które budzi w nas taką nostalgiczną miłość, zapewne także i dlatego, że ma smak naszych łez — wywołało na usta Marji Pawlikowskiej — (na usta, bo czemże się pisze „Pocałunki“?) kilka przednich czterowierszy, znajdujących prawdziwie nowe nazwania dla spraw serca. Do takich należy wiersz o marynarzu, co „wyłowił mnie z mego płaczu, jak syrenę z gorzkiej zatoki“ — i o żaglowcu, opartym na wietrze „jak ja na myśli o tobie“.

Czterowiersz o depeszy „co zdyszana, dobiegła w oznaczonej godzinie, by mnie zabić w oznaczonej minucie“, jest, w swej nieozdobnej lakoniczności, stwierdzeniem faktu, o którym nie można powiedzieć ani jednego słowa więcej i ani jednego mniej. Tak, to tak właśnie się dzieje — i z taką właśnie chyżością.

Dwa, ledwo-że wyszeptane wiersze, jeden, gdzie się mówi „a położę się jak cień płaski u Twoich nóg“, i drugi, gdzie miłość porównana jest do Nike, co „choć zabita, biegnie z zapałem jednakim, wyciągając odcięte ramiona“... świadczą o czarującym przeniknięciu istoty nieuciszzonej miłości, której wiecznym siedliskiem jest nasze serce. Niektóre porównania, naprzykład „bzy są, jak chmury krzyżyków“, albo „niebo, jak puch perlicy“ — swoją nowością budzą przyjemną myśl, że mowa jest w istocie niewyczerpana w szukaniu sposobów na wyrażenie irracjonalnego uroku świata.

Są w tym zbioreczku i wiersze bardzo słabe. Ale za te, które tu przytoczyłam i może za niektóre inne, niech jaknajwięcej ludzi przesze autorce odpowiedź: za pocałunek — nieśmiały pocałunek z oddali.

To prawda, że te czterowiersze starczą nam na chwilę — ale, bez takich chwil, nie byłoby czem związać jednej żelaznej godziny życia, z drugą — kamienną.

Marja Dabrowska.

MODY I ROBOTY



670

671

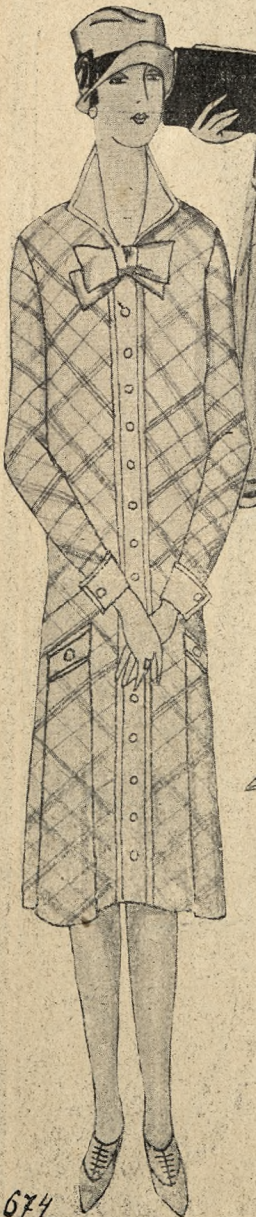
672

673



676.

677.



674.



675.



678.



679.



680.



683

684



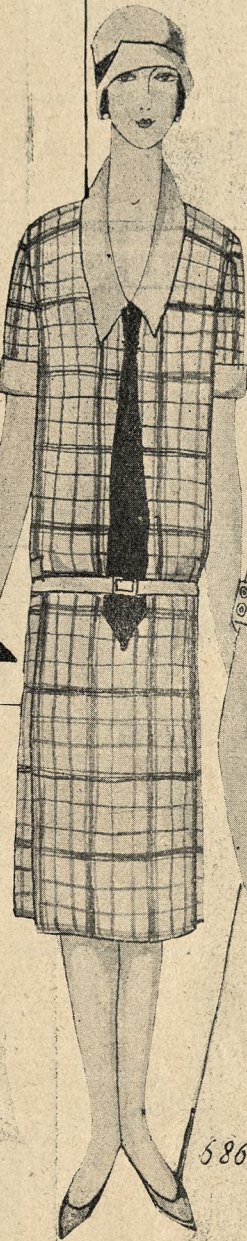
681



682



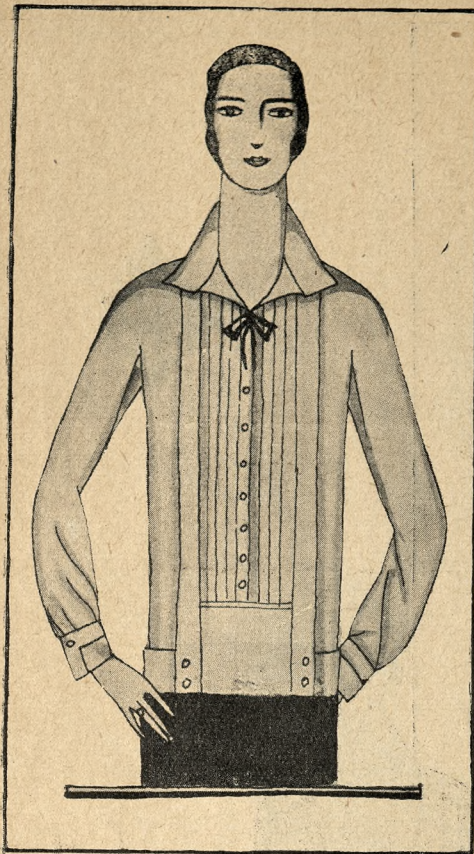
685



686



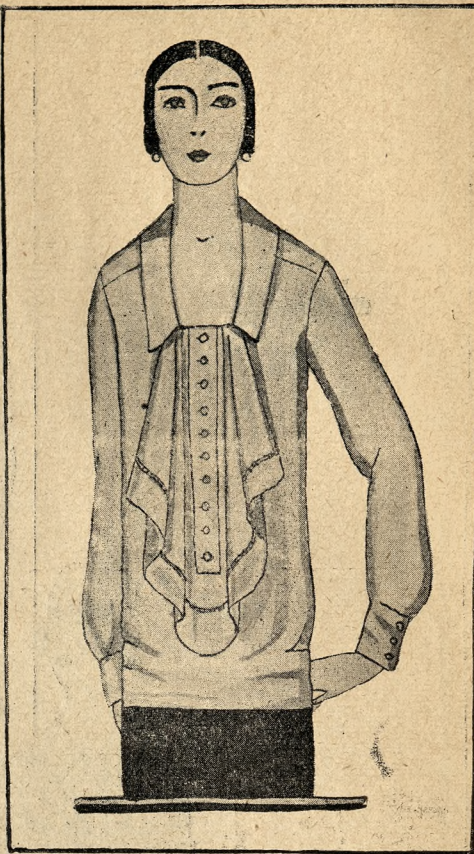
687



688.



689.



690.



691.



692.

693.



694.





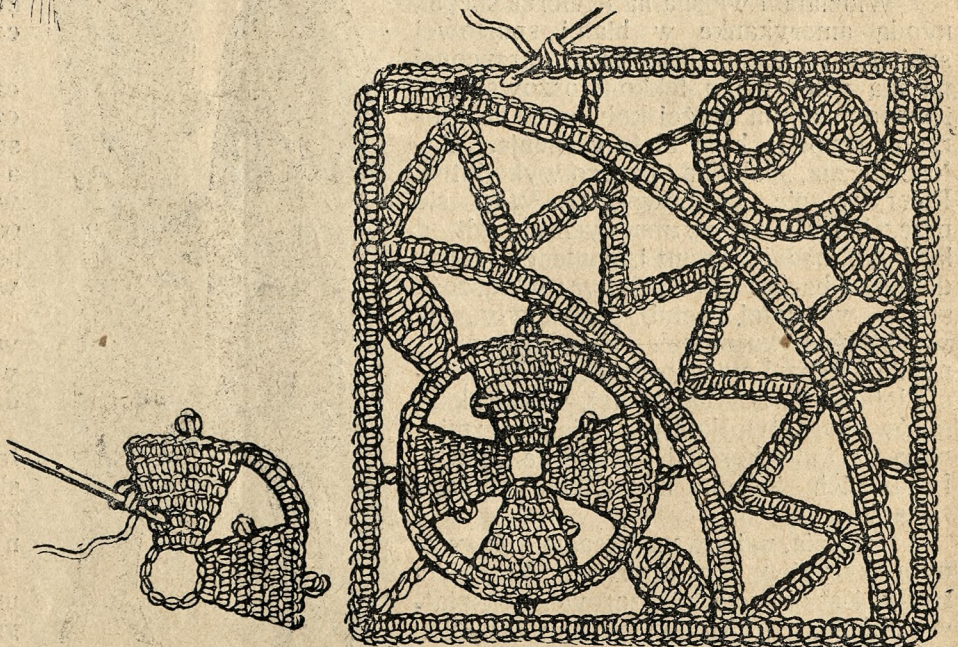
BLUZKA PRZYBRANA SZYDEŁKOWEMI KWADRATAMI.



Po zrobieniu 6-ciu pierwszych rzędów listka — zrobić 4 ściśle oczka i jeden pikot, złożony z trzech luźnych oczek — zamknąć go jednym ściśnięciem oczkiem, zrobić 4 ściśle ocz., wklute w ostatnie oczko rzędu, w końcu 2 śc. oczka, w oczko brzeżne — dalej robić na brzegu 3 śc. oczka, 1 pikot z dwóch oczek, 1 śc. oczko w pierwszy powietrzny pikot — 3 śc. oczka, zacząć następny listek i powtórzyć go jeszcze 3 razy. Dalej robić kwadrat podług wzoru, nadając mu wielkość pożądaną, kwadraty te zrobione ściśle i równo z cieniłego numeru cotton perlè — wyglądają, jak irlandzka koronka. Można je łączyć z kwadratami z crepè de Chine'u w modnym brudno — różowym lub niebieskim (vieux rose lub bleu nattier) kolorze a otrzymamy bardzo wykwintną wieczorową bluzkę.

Można także robić kwadraty z grubszej bawełny kolorowej — a zamiast materji wziąć wełnę. Jeżeli dobrze dobierzemy kolory materiału i bawełny, będziemy mieli przybranie naśladowujące do złudzenia pasmante-rję. Kwadrat taki przyfastrygowywuje się do materiału i przyszywa z odwrotnej strony drobnitkami, krytymi ścieżkami cienkimi nićmi koloru bawełny, z której kwadraty są robione. Można wyciąć z pod spodu materiał, co podniesie bardzo estetyczny pozór bluzki lub zostawić zwłaszcza wełnę, której ciąc szkoda, przyszywając kryto z wierzchu drugi raz obrzeżenie kwadrata. Chcąc mieć bluzkę bardzo strojną — robić kwadraty ze złotej nitki i wstążki batikowanej.

Bluzka, zrobiona z woalu lub z płótna jedwabnego, jasnego koloru i z kwadratów szydełkowych. Kwadrat, na który potrzeba 5 gr. bawełny „cotton perlè“, zaczynamy od kółka, robiąc na jego środek 12 luźnych oczek, zamkniętych jednym ściśnięciem oczkiem. Na pierwszy listek robić: jedno luźne oczko, 2 ściśle oczka w pierwsze powietrz. oczko kółka — 2 ocz. ściśle w dwa następne ocz., odwrócić robotę i robić 5 razy tam i z powrotem 2 śc. ocz. w pierwsze luźne oczko poprzedniego rzędu i po jednym śc. oczku w każde następne oczko, robiąc przed zakrętem każdego rzędu po jednym luźnym oczku.



LETNIE OKRYCIA



W bogatym królestwie okryć letnich, palma pierwszeństwa przypadła w tym sezonie pelerynie, tak zwanej w dyplomatycznym języku, co w państwie mody króluje — „cape“.

Zanim pelerynka — w całym tego słowa znaczeniu peleryną się stanie, przechodzi ewolucję.

Służy, jako ładna i ciekawa nowością linii ozdoba letnich sukien — plisowana, lub kloszowo skrojona, z materiału, z którego sukienkę wykonano — nikłego jest kształtu i za ledwie plecy zasłania, nie przekraczając nigdy linii ramienia. Bywa też, że hołdując prądom niezgody i rozdrożenia, rozpada się na dwie równe części i odsłaniając przód oraz plecy, na ramionach, rozpada się w zwiewne skrzydła.

Przy kostjumach i płaszczach spotykamy znów pelerynkę. Solidniejsza już nieco i bardziej rozłożysta, zawsze otwarta i odsłaniająca przód okrycia. Wreszcie, śledząc da-

lej za jej rozwojem, zachwycamy się dyskretną formą peleryny, łagodnym kloszem ku dołowi falującej o dłoń od sukni krótszej, a przy szyi zwązającym się stopniowo pasem futra w formie szalowego kołnierza wykończonej.

Peleryny takie są zazwyczaj wykonane z miękkich, lekkich materiałów, a zarzucone w chłodny, letni dzień na sportową sukienkę, lub plisowaną spódniczkę i jumper, w jednym utrzymanie tonie, są eleganckie i wytworne. Jeżeli peleryna ma być typu wybitnie letniego, można nie wykończyć jej futrem, a poprostu szalowym kołnierzem z tego samego materiału.

Widziałam wiosną na Rivierze śliczną młodą amerykańkę w białej sportowej sukience i ciemno brunatnej, narzuconej na nią pelerynie o lekko kloszowej linii i wspomnianym wyżej kołnierzu, do którego przypięta była biała gardenja. Całość śliczna, spokojna i bardzo wykwinтна. Peleryny nie są nowością. Wiły się przez barwne strony modnych żurnali od lat kilku, badając grunt i moment podatny do ujęcia berła pierwszeństwa; władczość swoją w całej pełni zaznaczyły już w ubiegłym karnawale, lśniąc się przepychem okryć wieczorowych. W sezonie letnim, gorący puch futer, ciężar aksamitów, bogactwo lam połocistych, zmieniają na tiule, koronki i crêpe de chiné'y, forma ich jednak niewielkiej podlega zmianie.

Ostatnią, najnowszą kreacją, tak zwanym krzykiem, żywiołowym krzykiem mody, jest okrycie wieczorowe, w kształcie obficie, a lekko spływającej z ramion peleryny, układane z kilku warstw przezroczej tkaniny, wymyślnie barwami do-

branej, tak, że jedna na drugiej układane, dają ton wyszukany i nieujęty.

Okrycia takie o typie czysto wieczorowym, wykończone przy szyi bogatą szeroką riaszą ze wstążki, piór, lub teźże co okrycie przezroczej tkaniny, wykonywane są zazwyczaj z jedwabnego muślinu, czy tiulu, w każdym razie z przezroczyściego i bardzo lekkiego materiału.

O tych wykwinnych, a kosztownych kreacjach piszę jedynie z obowiązku notowania wszelkich nowości, są one jednak do warunków naszych i chwil jakie przeżywamy, niedostosowane. Bardzo kosztowne, a mało praktyczne są przytem zbyt wykwinne w stosunku do ram, jakie stwarza urodzie kobiecej otoczenie, z którym w naszych miejscowościach kuracyjnych, klimatycznych i kąpielowych spotykać się zwykła, a gdzie wszelkie, zbyt wspaniałe i kosztowne stroje rażą i są nie na miejscu. Przytem wykonanie takiego okrycia wymaga wydania dużej sumy na przedmioty zbytku, z zagranicznych rynków sprowadzane, z którymi każda z nas w głębi swego prawomyślnego ducha rozbrań wziąć postanowiła.

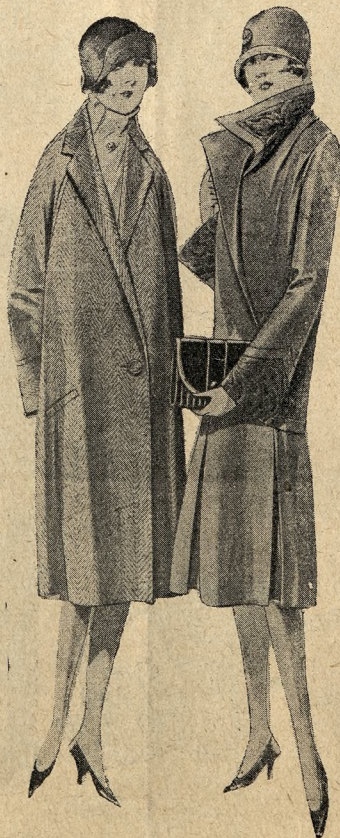
Do modnych i eleganckich płaszczy spacerowych należy zaliczyć, wykonane z crepe de chiné'u, miłe swoją lekką przewiewnością i w najupalniejszy dzień mało, a nawet wcale nie obciążające. Śliczne są crêpe de chiné'owe modele z małymi plisowanymi pelerynkami, rzuconymi na środek pleców.

Tak bardzo modny w zeszłym roku czarny jedwabny płaszcz nie zeszedł jeszcze z areny mody. Ma on zawsze cechę spokojnej elegancji i jest wykwinny, a przytem praktyczny, bo służy zarówno w lecie, jak jesienią i zimą, o ile podbić go ciepłą podszewką, dyskretnie jedwabiem nakrytą, i futrem u szyi i rękawów wykończyć.

W łagodne dni zimowe, szczególnie w zestawieniu z suknią wizytową, lub wieczorową, płaszcz taki oddaje prawdziwe usługi.

Mówiąc o strojnych okryciach letnich, trudno pominąć milczeniem szarą rzeszę skromnych, a jednak tak eleganckich i pożytecznych palt o typie sportowo-podróżnym, bez których obejść się nie sposób.

Mają one jedną wielką zaletę — są uniezależnione od zmiennej i kapryśnej mody prostotą linii i szczegółów, które nie rażą nigdy, a przytem bezcenne swoją wszechstronnością, gdyż są równo-



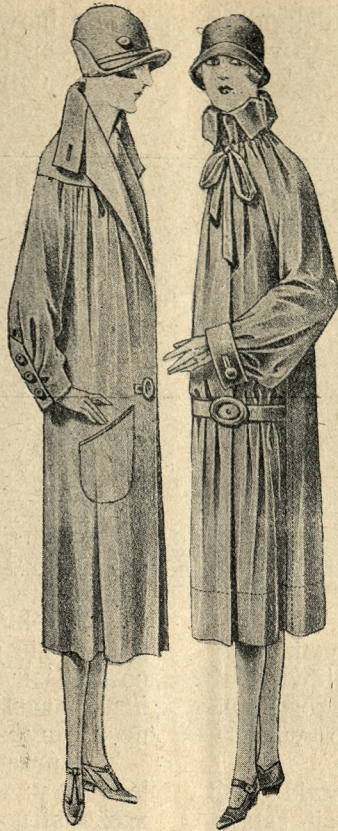
cześniej odpowiednie jako okrycia miejskie i podróżne.

Należy jednak palta takie wybierać w kolorze odpornym i z trwałego niegniotącego się materiału — inaczej prędko stracą świeżość, a wyplamione i zmięte wyglądać będą niedbale.

Zdawałoby się, że chcąc nadać paltom naszym cechy, o których tu mowa, wybierać należy materiały z najdroższych i to koniecznie zagranicznych. Praktyka jednak wskazuje wprost przeciwnie, gdyż w wyrobach bielskich spotyka się specjalnie na płaszcze wykonywaną tkaniną, tak zwaną czesankę czysto wełnianą, w modnych kolorach i zestawieniach, trwałą, doskonale się noszącą i elegancką. Płaszcz wykonany z tego materiału, a w pierwszorzędnym magazynie przezemnie oglądany kalkulował się niebywale przystępnie, bo zaledwie 80 złotych, a dawał sumę zadowolenia optycznego równą i niczem nie ustępująca z zagranicy importowanym.

Jeżeli mówimy tyle o okryciach, pominać trudno ważną sprawę doboru kapelusza i pantofelka do typu okrycia dostawanego.

Widzimy często rażące zestawienia, jak n. p. płaszcz sportowy i strojny kapelus, egretą kosztownych piór podpięty, lub też okrycie strojne z jedwabiu wykonane i jakieś ciężkie, niestosowne nakrycie głowy. Która z pań nie posiada bezcennej zalety orientowania się na pierwszy rzut oka w tem, co do czego pasuje, winna zasięgnąć czyjejs rady lub też kierować się zasadą stalowania, czy wybierania kapelusza w okryciu do którego jest przeznaczony, a wówczas liczyć może na gust modystki, która nie pozwoli jej zrobić niestosownego wyboru.



Obuwie przyczynia się równie silnie do zepsucia, lub do podniesienia całości. Płaszcz sportowy solidaryzuje się z cięższym i ciemniejszym pantofelkiem, strojny a jasny z lekkim i wytwornie wykonanym. Pamiętać też należy, że przy czarnym jedwabnym okryciu jasny pantofelek wygląda niestosownie i rażąco i że z góry przysłano nam nakaz przechylenia się ku popielatym ceniom pończoszek, szczególnie w zestawieniu z czarną, lub błękitną barwą okryć i sukien, jest to podobno przejście łagodzące myśl o zżyciu się z czernią, jaka w tej dziedzinie niebawem powróci. Ton pończoszek najmłodniejszych—to popielaty tak zwany dymiony, nigdy ton o stalowych lub niebieskawy refleksach.

Całość doskonałego wyglądu podnosi odpowiedni dobór rękawiczki, ciemniejszej i swobodniejszej przy okryciu podróżnym i sportowym, jasnej, strojnej i obcisłej przy spacerowym, lub wizytowo-wieczorowym, no i wreszcie misterne cacko, woreczkiem damskim zwane, które przy wykwincie stroju nigdy nie przechodzi niespostrzeżenie, a o ile w podróży i przy załatwianiu liczniejszych sprawunków winno przerodzić się w kształt wygodnego i pakownego woreczka, przy lekkiej i strojnej sukni musi zachować cechy artystycznego cacka.

Na tak starannie zestawioną całość wystarczy w dni słoneczne rzucić plamę maleńkiej barwnej, a tak bardzo dzisiaj modnej parasoleczki, a w pochmurne i słotne osłonić ją cieniem wykwinowego, lekkiego, czysto jedwabnego parasolika, aby zasłużyć sobie na własne zadowolenie i wdzięczny rzut oka każdego, kto ceni harmonię w stroju kobiety. W. D.

EWOLUCJA LALKI NOWOCZESNEJ.

Minęły czasy, gdy lalka paryska błyszczała zdaleka porcelanową buzią, mrugała okrągłymi ślepkami i uśmiechała się bezmyślnie konwencjonalnym hieroglifym uśmiechu, poza którym ukrywały się... trociny. Dziś ta jej „treść wewnętrzna“, razem z porcelanową powłoką, złożone zostały do archiwum. Wojna zmiotła kruche skorupki i rozwała strzępki wczorajszych królowych. Na opróżnionym tronie zasiadła, doskonale przystosowana do nowych warunków bytu, lalka z materiału, miękka, giętka, wytrzymała, nietluczająca się i nieplącząca deszczem trocin za łada uszkodzeniem.

Potrzeba jest matką wynalazków. Zaraz z wybuchem wojny, większość zamieszkującej w Paryżu inteligencji polskiej stanęła wobec widma głodu. I wtedy w gronie artystów malarzy powstała myśl: robić lalki, robić lalki dla żołnierzy w okopach. Zbyt był pewny. Zapotrzebowanie ogromne. Pomysł w praktyce okazał się świetnym. Setki osób znalazły dzięki niemu pracę i chleb. Kto żył, robił lalki.



Mnożył się ten pstry ludek z niesłychaną szybkością i wędrował na plac boju. A stamtąd leciały z powrotem radosne uśmiechy i podziękowania wojaków. „Poilu“ nie rozumiał życia w okopach bez lalki; żył się z nią, jak z kochanką. Była mu bliska i droga, tem bliższa, im bardziej prosta w pomyśle, tem droższa, im bardziej zbliżona do typu chłopskiej lalki, którą pamiętał z dzieciństwa. Pomysłowość artystów miała tu pole szerokie zarazem i ograniczone wymaganiami rynku żołnierskiego. Lalka „bojowa“ musiała mieć fizjognomję zgoła odrębną od lalki „sklepowej“, fizjognomję prymitywu, daleką zarówno od szablonu, jak od dyletanckiej nieudolności.

Jej fizjognomję udało się osiągnąć artystom polskim, przystępującym do tematu z tą, specjalną świeżością uczuć, jaką w tym okresie ogólnego przygnębienia mogli rozporządzać jedy nie ludzie, dla których wojna była nietylko hekatombą, ale jutrzeńką zmartwychwstania.

Niezbadane są nurty podświadome,

będące u źródeł twórczości. Czasem przypadek, albo fakt, pozornie z istotą danego artystycznego zjawiska niezwiązany, wydobywa je na wierzch w formie skończonej, zamkniętej, zdecydowanej.

Jakimi drogami lalka polska, pustelniczka okopów, miłośnierna siostra żołnierza, wstała na szerokie tory międzynarodowej propagandy? Pani Paderewska zawiózła całe skrzynie krakowianek, łowiczanek, mazurek za ocean, aby yankesom mówiły o Polsce. Propaganda tego rodzaju miała dwa oblicza: jedno ideowe, drugie finansowe, bowiem lalki polskie wymieniano na dolary, które sowicie zasiliły kasę Polskiego Białego Krzyża.

Wraz z wygaśnięciem wojny, lalki w strojach narodowych, lalki etnograficzne poszły do muzeów, do czcigodnych lamusów przeszłości. Odegrały swoją rolę pospolitego ruszenia w służbie wielkiej idei i wróciły do zacisza domowego, podobnie, jak większość ich wytwórców z nastaniem pokoju wróciła do właściwych sobie zajęć i fachów.

Ale wyłom został zrobiony: lalka przestała być bezdusznym przedmiotem masowej fabrykacji, stała się tworem jednostkowej fantazji, indywidualnością wyraźnie określoną, posiadającą własne życie i własną odrębną fizjognomję. Zaroił się Paryż (i nie tylko Paryż) tysiącami maleńkich pracowni, w których wykluwały się pisklęta arcydzieł, aby opierzone tęczowo naksztalt kalibrów i opatrzone marką wielkiego domu handlowego, wyfrunąć w świat daleki, — przede wszystkim za ocean. Potwornie rozrośnięta produkcja lalek paryskich jest w większości wchłaniana przez rynek amerykański. Wymagania zamorskiego molocha, rozmiłowanego w sensacji, w grubych efektach, w jaskrawych zestawieniach, podziały na typ lalki paryskiej wulgaryzująco, nie zdołały go jednak doszczętnie zamerykanizować.

Lalka paryska jest codziennością, codziennością nową, przetradza się, przetwarza, zwyrodnia, wstaje i cherleje, aby raptem okrzepnąć, odmłodzić się, jak po odradzającej kąpieli.

Ta ożywcza woda płynie ze źródeł inwencji słowiańskiej, lwia bowiem część lalek paryskich wychodzi z pracowitych rąk Polek i Rosjank, które gnieźdzą się po gołębnikach hotelików Quartier Latin i Montparnassu i pracując po dwanaście i więcej godzin na dobę, modelują posagowe główki i stroją wstęgi korpusy w motylą przedzę tkanin, którą mogłaby wyśnić zaczarowana królowna.

Zwiedzałam dwa wielkie „instytuty“ lalek, których kierownictwo spoczywa w rękach polskich: zakład pp. Łazarskich i pp. Morawskich, ten ostatni, istniejący pod firmą „La princesse“. Użyłam umyślnie nazwy „instytut“, nie zaś pracownia, gdyż zakład, tego rodzaju, produkuje przede wszystkim pomysły, szkicuje modele, rzuca na rynek wszechświatowy mniej, lub więcej

śmiało innowacje, wreszcie daje zamówienia swym tyścącym, bezimiennym warsztatom, w których skupia się cały skomplikowany system prac wykonawczych.



się szerokie pole dla inwencji artystek, a zarazem piętrzą się góry trudności dla tych, których nie stać na wyjście poza ramy rzemiosła. Chlubą wielkich firm paryskich są lalki stylowe, dokładnie skopjowane z arcydzieł mistrzów pendzla.

A przecież te wszystkie Holbeiny, Rubense, Velasquez'y, Gainsborough'y, Vigée-Lebrun'y, Bronziny, zrekonstruowane pod postacią lalek, muszą mieć nie tylko kostjumy, ale i twarze zgodne z oryginałem, inaczej całość byłaby tylko czemś, w rodzaju wieszaka do stylowych gałganków, pretekstem do zademonstrowania kostjumu.

Że tak nie jest, że czarodziejki paryskie śmiało stawiają czoło wszystkim niebezpieczeństwom lalczarstwa, mamy dowód w ostatnim krzyku mody, jakim jest lalka — portret z żywego modelu. Jakiś posmak czarnoksięstwa czai się w tym kaprysie. Nasuwa on wspomnienia renesansu włoskiego, kiedy to w celach zbrodniczych lepiono z wosku podobiznę dokładną osoby, na której chciano wyrzucić zemstę i szpilką przekłuwano to miejsce na ciele figurki, gdzie powinno było się znajdować serce, aby na mocy praw magicznych zadać śmierć wrogowi, czasem oddalonemu o setki mil.

Jakże daleko odeszliśmy od tego świata wielkich namiętności! Zweżył się nasz horyzont do szczupłego kręgu tanich rozrywek, drobnych zawiści, lilipucich podłości. Nie stać nas na to, aby zabić, — umiemy tylko kłuć, szarpać i szczypać. Obracamy się w kole przyziemnej historii i parwenuśzowskiego snobizmu, ciasnem, jak taneczne koło dancingu, smutne pobojowisko trupich sentymentów i skarłajej zmysłowości, bronione heroicznie przez reduty stolików kawiarnianych.

I na tę nowoczesną arenę, pełną drepzczących bezmyślnie marionetek, patrzą dwa sobowtóry: pani i jej lalka, obydwa wykonane bez zarzutu i tak do siebie podobne, że chwilami budzi się wątpliwość, który jest kopią, który oryginałem, i co jest bliższe



prawdy: karmin na wargach pani, tak łatwo ścierający się za lada pocałunkiem, czy trwała purpura warg lalki, — uśmiech nowoczesnej Giocondy, niewolnicy tanga, który za powrotem do domu zdejmuje

się, jak szminkę, czy wiekiusty, niezmienny, niezniszczalny, niezawodzący nigdy uśmiech lalki?

Która z nich jest wzorem, która echem, i która otrzyma jabłko z rąk dzisiejszego Parysa, jakim jest duch współczesności? Śpieszcie się, uroczcie boginie bo oto w szranki wkrocza trzecia, może, najniebezpieczniejsza współzawodniczka, lalka sportowa. Bieg maratoński, miotanie dysku, skok o tyczce, mecz footballowy, wszystkie szczytowe momenty igrzysk olimpijskich, uwiecznione zostały w zuchwałych, konstruktywistycznych skrótach kształtów, powleczonech lekko zmatowaną, srebrną lub złotą powłoką. Ta jednolitość barwy, łącznie z geometryczną niemal prostotą linii, tworzy całość o charakterze surowym, spar-



tańskim. Nic ponadto, co może wzbudzić w widzu wrażenie ruchu, chwycione na gorąco, przecięte średnicą sekundy, uwiecznione z dokładnością filmu i z całym aparatem tych uproszczeń technicznych, jakie autokratycznym gestem rzuca na szalę sztuki wszechwładny duch czasu.

— „Stój chwilo! Jesteś tak piękna!“

To Faustowskie hasło możnaby wypisać nad sylwetkami tych ciał, napiętych, jak cięciwy, śmigających w przestrzeni, jak złote błyskawice, wplecionych w orbitę wiekiustych praw rytmu, które rządzą kosmosem.

Od porcelanowej laleczki do skoku w nieskończoność! Jakże śmiała przebiegliśmy parabolę!

Stefanja Podhorska-Okolów.

OGRODNICTWO W ŻYCIU POLKI.

Zagadnienie, czem kobieta inteligentna ma być, jakiemu zawodowi ma się poświęcić, zajmuje i zajmowało umysły społeczeństwa od szeregu już lat; najpierw z powodu ogólnie rozbudzonego prądu wśród kobiet do zdobywania nauki, wiedzy, wykształcenia się w różnych kierunkach; następnie — z przyczyny ciężkich warunków bytowania, zmuszających córki, a często żony i matki, do zarabkowania. Kształciły się więc kobiety w sztukach pięknych, rysunkach i malarstwie, muzyce i śpiewie, rzuciły się następnie na uniwersytety, słuchając wszelkich dla kobiet dostępnych wykładów, w wielu wypadkach bez celu i bez realnego wyniku, wstępowały licznie w szeregi nauczycielstwa i urzędniczek różnego rodzaju i stopni. W międzyczasie zaczęły myśleć, mówić i zwracać się w kierunku rolniczo-ogrodniczym i ostatnio — „last not least“, jak mówią Angliki, specjalnie ogrodniczym.

Stanowczy przełom na korzyść ogrodnictwa nastąpił zwłaszcza w czasie wojny światowej; ona dała niejako, jakby hasło do poważniejszego i zawodowego odnoszenia się do nauki ogrodnictwa. Działo się to może z powodu wzrastającej potrzeby szukania chleba, a potem i pod wpływem majaczej w oddali, projektowanej w Polsce, parcelacji rolnej.

Wprawdzie już przed r. 1914, — wiele nawet lat wstecz — znajdowało się ogrodnictwo na porządku dziennym zamierzeń kobiecych, wstawiano je w plan ich wykształcenia, traktowano je jednak przeważnie po amatorsku, nieraz po dyletancku, jako miłe spędzenie czasu, raczej — użycie tu ironicznego określenia jednego z pionierów naszego ogrodnictwa, — „jako zabicie czasu panien na wydaniu, traktujących naukę ogrodniczą, podobnie jak modne niegdyś, malowanie na porcelanie“.

Nie można tego orzeczenia uogólniać ani stosować go bez zastrzeżeń do wszystkich kobiet ówczesnych. Bywały bowiem i przed wojną wyjątki, bio-

rające naukę ogrodnictwa na serjo, zawodowo nawet, które, mimo przeszkód, z trudem i móżolem dochodziły jednak do celu.

Rozpatrzmy sprawę tę z punktu widzenia historycznego, raczej kronikarskiego, że się tak wyrażę. Nie mam tu na myśli całych wieków wstecz, lecz tych dwu mniej więcej ostatnich lat dziesiątek, w czasie których pisząc, a te słowa miała sposobność, bądź obserwować naukę i działalność kobiet w zakresie ogrodnictwa, bądź sama czynny w niej brać udział.

Wgląd w statystykę jednego z polskich kursów ogrodnictwa (Kursa ogrodn. Tow. Ogrodn. w Krakowie) da nam pojęcie, jak się układał z biegiem czasu, liczebnie i jakościowo, stosunek kobiet do nauki, a przez to i do ogrodnictwa samego. W roku 1900 zapisało się na wymienione kursa 57 słuchaczy i słuchaczek, z tego zaledwie $\frac{1}{4}$ kobiet.

W r. 1910, zatem w 10 lat później, stosunek odwrócił się zupełnie: wpisało się 72 osoby, w tem $\frac{3}{4}$ kobiet, a $\frac{1}{4}$ tylko mężczyzn. — Nadmieniam, że nie biorę tu w rachunek specjalnych kursów, n. p. „wiązańek“, na które uczęszczały, wyłącznie prawie, kobiety, lecz mówię o całokształcie wykładów ogrodniczych wszelkich działów.

Nie będę tu przytaczała corocznych zmian w statystyce ilościowej; zajęłoby to zbyt wiele miejsca i przeszło ramy tego artykułu, zaznaczę tylko, że liczba kobiet, zapisujących się na naukę ogrodnictwa, stale odtał wzrastała, dosięgając kulminacyjnego punktu w latach 1906/7 i 1907/8.

Co do statystyki jakościowej, to słuchaczki pierwotnie składały się wyłącznie z amateerek ogrodnictwa z miasta lub ze wsi. Zajmowały się one ogrodnictwem przeważnie dorywczo, nie uważając za potrzebne poświęcania mu więcej czasu i studjów. Nie będziemy się temu dziwić w odniesieniu do kobiet, jeśli zważymy, że i co do mężczyzn nie dbano jesz-

cze ogólnie u nas — z wyjątkami, naturalnie, — o „wyszkolenie“ ogrodnicze. Na ogrodnictwo patrzano, jako na rzecz poboczną, drugorzędną: „nie doceniano“, — jak słusznie powiedział jeden z naszych autorów ogrodniczych, — „znaczenia, jakie ono mieć może i powinno dla narodu i kraju pod względem ekonomicznym, kulturalnym i zdrowotnym. Ogrody uważano, jako dodatek przy dworach na wsiach i domach w miastach“.

O pojmowaniu przez kobiety ogrodnictwa „zawodowo“ nie było jeszcze mowy. „Zawodową“ naukę bowiem nazwać nie można zainteresowania, jakie wzbudzały te lub owe wykłady ogrodnicze we właścicielkach ogródków miejskich, lub ziemiankach, które, korzystając z czasowego pobytu w mieście, na te wykłady uczęszczały.

Pierwsze kandydatki na fachowe ogrodniczki zapisały się w r. 1902/3. Było ich trzy, z których dwie odpadły wśród nauki; wytrzymała tylko — jedna. Od tej pory jednakże procent uczennic, traktujących naukę ogrodnictwa poważnie, zwiększał się powoli, lecz stale, wzrastał z roku na rok. W latach wojny światowej stan ten nie tylko się nie zmniejszył, ale nastąpiła wręcz, jak wspomniałam wyżej, ewolucja w kierunku dodatnim. W skład zapisanych wchodzi teraz prawie same kandydatki zawodowe i to tak liczne, że dyrekcja kursów ogrodniczych zmuszona była zamknąć wpisy — z braku miejsca — przed oznaczonym terminem (w r. 1917/18). (Należy nadmienić, że w r. 1914/15 kursa nie mogły się odbywać z przyczyn wojennych: zaciągów, ewakuacji). Jaki stan rzeczy pod względem frekwencji kobiet był na innych kursach ogrodniczych polskich, nie podaję narazie, nie mając dokładnych cyfr. Ponieważ jednak na wymienionych kursach krakowskich reprezentowane były wszystkie trzy zaborcy z najodleglejszych zakątków, zatem wyżej przytoczone dane dają w każdym razie wyobrażenie, jak kobiety wogóle u nas odnosiły się do ogrodnictwa.

Rozpatrywanie sprawy ogrodnictwa w życiu kobiety polskiej przed i powojennej wysuwało i wysuwa duże kwestje, przywodzi na myśl dwa pytania: gdzie mają się kształcić kobiety w ogrodnictwie i gdzie mogą następnie użyć swą wiedzę; czy i jaki pożytek przynieść ona może dla społeczeństwa i kraju z jednej, a dla absolwentek nauki ogrodniczej z drugiej strony?

Dawniej trudniej, obecnie łatwiej odpowiedzieć na te zagadnienia. Środowiska główne, w których skupiała się dawniej i koncentruje się obecnie nauka ogrodnictwa dla kobiet u nas to — Warszawa i Kraków, a od r. 1920 także Poznań. Oprócz tego istniały w różnych miejscowościach kraju kursy dłuższe lub krótsze, perjodyczne czy przejściowe, praktyczne lub teoretyczne.

Pierwotna inicjatywa jednakże do zawodowego kształcenia się kobiet w ogrodnictwie wyszła z zagranicy, która wyprzedziła nas, tak pod względem otwarcia bram nauki dla ogrodniczek, jak i następnie pola pracy dla wykwalifikowanych już sił. Mówiąc „zagranica“, mam tu na myśli b. Rzeszę niemiecką, dokąd zwracały się nasze rodaczki z trzech zaborów po zawodową naukę ogrodniczą w pierwszej linii, — może z powodu bliskości niemieckiej granicy, albo i tej okoliczności, iż Niemcy, chociaż pozornie przeciwni emancypacji i kształceniu się kobiet, zorganizowali jednak od razu szkoły formalne ogrodnicze z internatami — wyłącznie dla kobiet. Wiele lat przed wojną Rzesza posiadała już trzy takie szkoły ogrodnicze:

w Marienfelde (pierwotnie Friedenau) pod Berlinem, w Goddesberg pod Bonn i w Leusesdorf nad Renem. Później i męskie zakłady ogrodnicze zaczęły przyjmować kobiety, po części jednak, jako nadzwyczajne uczennice, lub na samą tylko praktykę, i tak: Prosków (Proskau) na Śląsku, Laubegast pod Dreznem w Saksonji, także niektóre w Austrii. Na inne, znane mi zagraniczne szkoły ogrodnicze dla kobiet, jak n. p. w Aargau w Szwajcarii (otwarta w r. 1906), Brie — Compté — Robert, we Francji (stworzona dopiero 1913/14) i t. p. uczęszczały nasze rodaczki pojedynczo i sporadycznie tylko.

Pierwsza z wyżej wymienionych szkół, a najdawniejsza z kobiecych ogrodniczych niemieckich, t. j. Marienfelde, cieszyła się, przedewszystkiem u nas, wziętością wielką (już w latach 1902/4) nie zawsze, zwłaszcza w późniejszych latach, usprawiedliwioną.

Zapewne, że w tych czasach nauka ogrodnictwa u nas napotykała na niejedne trudności, — szczególnie co do praktyki, — i nie była pozornie tak zorganizowaną, jak zagranicą. Przy dobrej woli, nie kierując się uprzedzeniami, można było znakomicie i u nas wyszkolić się w ogrodnictwie jednak. Obecnie zaś nie ma najmniejszej potrzeby pomijania naszych uczelni; nauka w nich stoi na wysokości swego zadania, a w porównaniu z zagranicą ma tę nadto dodatnią stronę, że jest dostosowaną do warunków i potrzeb krajowych. — Za granicę możemy jechać następnie dla czynienia obserwacji, rozszerzenia wiadomości, czy specjalizowania się w jakiejś gałęzi ogrodnictwa.

Tutaj wylania się nowe pytanie: czyż dla wyuczenia się ogrodnictwa potrzeba lub warto poświęcać tyle nakładu sił, czasu, pieniędzy? Owszem, tak. Dawni już minęły czasy, w których nieuków tylko oddawano na rolnictwo lub ogrodnictwo. — Obecnie ogrodnik, czy ogrodniczka, tak samo jak rolnik, nie może być tylko machinalnym, mechanicznym wykonawcą swego zawodu, lecz powinien swą pracę opierać na dokładnej znajomości fachowej, by unikać licznych błędów, które mogą narazić nie tylko na zmniejszenie, ale nawet na pozbawienie dochodów z ogrodnictwa.

Gdzie jednak i jak mogą kobiety zużyć nabyte, często z móżolem i kosztem, wiadomości ogrodnicze?

To kwestja nader ważna. — Niemcy i tu nas wyprzedziły: mimo zacofanych pojęć byłego cesarza niemieckiego, co do kształcenia się kobiet, wyzwoliły się one także wcześniej w różnych kierunkach, na rozmaitych polach pracy, także w ogrodnictwie i zajęły stanowiska, bądź jako kierowniczkę własnych lub cudzych zakładów ogrodniczych, prywatnych czy handlowych, bądź jako asystentki i pomocniczki dyrektorów, lub inspektorów w ogrodach miejskich, sanatoryjnych i na cmentarzach, bardzo starannie w Niemczech utrzymywanych.

U nas sprawa „angażowania“ kobiet na posady ogrodnicze przyjmowała się dość trudno, zwłaszcza w b. Galicji. Nawet kandydatki, chcące uzupełnić swą wiedzę po skończeniu kursów ogrodniczych, szukać zmuszone były często praktyki w innych zaborach, lub u obcych. Wojna, rzecz można, zrobiła tu znów swoje. Uprzedzenia do kobiet ogrodniczek stopniały. Otworzyły się dla nich posady różnego rodzaju. Jako dowód, przytoczę, że piszącej te słowa, zajmującej stałą posadę, ofiarowano równocześnie trzy inne: wprawdzie jedną w Niemczech, ale dwie w kraju. — Być może, że brak sił męskich i konieczność zastępowania ich niewieściami przyczyniały się do tego: w każdym razie epoka wojenna przechyliła szalę na korzyść kobiet.

Wprawdzie obecnie o posady ogrodnicze dla kobiet znów trudniej, lecz niemniej trudno o każde stanowisko w innych zawodach, a są pozycje, jak w szkołach gospodarstwa domowego, przy różnych zakładach wychowawczych żeńskich, sanatoriach niektórych kategorii, gdzie ogrodniczka mogłaby być zawsze pożądana.

Nietylko jednak zresztą na posadzie ogrodniczki, względnie w ścisłym ogrodnictwie, może i powinna kobieta dziś zużytkowywać swą wiedzę i rozwijać działalność ogrodniczą.

Upowszechniło się u nas mniemanie i po części się utrzymuje, iż wyszkolenie ogrodnicze potrzebne tylko dla „zawodowych”. Określenie, czy nazwa „ogrodnictwo”, „ogrodniczka” skojarzone jest niejako dziś jeszcze w umysłach naszego społeczeństwa przeważnie z charakterem służbowym, z jakąś posadą ogrodniczą, w najlepszym razie z tytułem posiadzieliarki zakładu ogrodniczego handlowego, takiegoż składu, lub sklepu. Tymczasem rzecz się ma inaczej; pole działalności ogrodniczej jest rozległe, powinno jednak być umiejętnie uprawiane w każdej okoliczności, jeśli ma przynieść należyty plon.

Ziemianka, czy nauczycielka szkół ludowych na wsi powinna być odpowiednio przygotowaną w ogrodnictwie, — podobnie jak t. zw. „ogrodniczka”, — jeśli chce na swym stanowisku z korzyścią pracować: pierwsza, dyrygując własnym ogrodem, lub dając mu pożądaną kierunek i szerząc pośrednio lub bezpośrednio uświadczenie ogrodnicze; druga, czyniąc to samo przez młodzież szkolną i uprawę wzorowego ogrodu szkolnego, — tego rozsadzika kultury ogrodniczej. — Jaką wagę przywiązują znawcy do ogrodów szkolnych — wobec wielkiego znaczenia ogrodnictwa dla kraju już obecnie, a większego jeszcze w przyszłości — dowodem poważne artykuły i wnioski, które wpłynęły po zesłorocznej jesiennej wystawie ogrodniczej lwowskiej i odbytych tamże konferencjach, — jedno do pism naszych, drugie do władz szkolnych — o ujęcie ogrodnictwa nauczycielstwa w normy wskazówek zawodowych, w celu rozwinięcia go i postawienia na całym obszarze Polski na właściwym poziomie.

Znajdą się zapewne liczne głosy pesymistek, a zwłaszcza pesymistów, które wszelkim dowodze-

niom przeciwstawiać będą zawsze twierdzenia: „a jednak ogrodnictwo „na serjo“ nie jest dla kobiety, przechodzi jej siły fizyczne, w danym razie najczęściej chleba nie da. — Ogrodniczki-kobiety niechętnie wogóle bywają angażowane, nawet jako praktykantki, nie wzbudzają przeważnie zaufania i t. d. i t. p.“

Nie da się zaprzeczyć, że siły kobiece, nieprzystawne do jakiegokolwiek fizycznej pracy, jak to ma miejsce przeważnie u kobiet inteligentnych, a o takich tu mowa, — muszą najpierw powoli, stopniowo się rozwijać, by włożyć się do systematycznego zajęcia, do czego najlepszą drogą jest: stosowna szkoła ogrodnicza. Skoro jednak siły te rozwiną się już należycie, co przez pracę fizyczną na powietrzu zazwyczaj stosunkowo prędko następuje (o ile kobieta wogóle rozporządza, rozumie się, odpowiednim zdrowiem), — skoro, obok zamiłowania w swym zawodzie i dostatecznego przygotowania, trafi na właściwe miejsce, może kobieta w ogrodnictwie z pożytkiem pracować i dużo zdziałać dobrego; przykłady niejednokrotnie tego dowiodły, i najwięcej uprzedzeni nawet to przyznają.

Co do braku zaufania do kobiet i niechętnego przyjmowania ogrodniczek — różne są tego powody, między innymi właśnie co dopiero wyżej przytoczony, ale jeden z najważniejszych to — dyletancyzm. Twarda to wogóle jest przeszkoda na drodze życia, działalności i postępu ogrodniczego kobiet: hospitantki i w następstwie dyletantki — to element szkodliwy dla wytrwałej i celowej pracy kobiet w zawodzie ogrodniczym, to jeden z głównych powodów niekorzystnych wniosków w ogólnym poglądzie na udział kobiet w ogrodnictwie.

Liczny, niestety, zastęp jest kobiet, który ani zrozumieć, ani podjąć się chce pracy „serjo”; innemu słowu uznać, że każdy człowiek w życiu ma do spełnienia pewien obowiązek; a przeto i między temi, które poświęcają się ogrodnictwu, można je znaleźć i one to właśnie szkodę przynoszą sprawie. Te, które serjo i pilnie, już w czasie nauki, każdą chwilę chcą wyzyskać, z każdej sposobności coś skorzystać, — takie pracują i później na swoich stanowiskach obowiązkowo i na którymkolwiek znajdują się posterunku — potrafią działalnością swą przynieść pożytek nietylko sobie, ale społeczeństwu i krajowi.

J. O.

MÓJ PUDER HIGJENICZNY.

W starożytności, pierwsze kosmetyki były wyrabiane z roślin. Służyły do tego kwiaty, liście, kora i korzenie. Egipt, dzięki swej bujnej roślinności, dostarczał materiałów do celów kosmetycznych. Powszelchnie stosowane były przetwory z narcyzów, jaśminów, mirty i wielu innych, nam nieznanymi roślin. Zwyczaj pudrowania się, był ogólnie bardzo przyjęty, tak, że zupełnie jawnie, podobnie jak i dziś, na występach publicznych panie bez żenady używały pudru i różu. Chęć upiększenia ciała i ukrywania jego braków, doprowadziła do stosowania wszelkiego rodzaju kosmetyków. Oprócz szminek, perfum i olejków stosowane były najczęściej pudry kosmetyczne. Pudry z rozmaitemi wonnościami używane były do pudrowania bielizny, ubrań i pościeli. W Polsce, w wieku XVIII, najbardziej miały zastosowanie szminki i pudry, którymi kobiety ówczesne pokrywały całkowicie ramiona i szyję. Obecnie ze wszystkich kosmetyków najbardziej rozpowszechnionym jest puder. Najlepszy

puder składa się ze sproszkowanych, tartych roślin. Zaletą dobrego pudru jest jego lekkość i miałkość. Poza pudrem sypkim są jeszcze używane w kosmetyce bielidla tłuste, nader szkodliwe dla cery.

Tak samo, jak szminka, puder płynny, lub tłusty zatyka pory, skutkiem czego skóra nie może oddychać i, co za tem idzie, przedwcześnie wędnieje i starzeje się. Płynne i tłuste pudry powinny być stanowczo z użytku wykluczone. Dziś, gdy niemal wszystkie kobiety używają pudru, nader ważnym jest rozwiązanie problemu: czy puder niszczy cerę.

Działanie pudru jest dwojakie: kosmetyczne, gdy ukrywa plamy cery i pozornie wybiela, oraz lecznicze, gdy ochrania skórę, pochłania wilgoć i chłodzi. Jeżeli się używa pudru w ciągu dnia, to na noc powinno się koniecznie zmyć twarz wodą, z dodaniem odrobiny boraksu toaletowego „Eunice“ i nacierać odrobiną „Mego kremu“. Dobry i higieniczny puder nietylko nie niszczy cery, ale działa ochraniająco i udeli-

katniająco na cerę. Są skóry, które mogą się obejść bez pudru, ale takie należą do rzadkich wyjątków.

Spreparowanie prawdziwie dobrego, higienicznego pudru jest nader trudnym zadaniem. Dobry puder powinien być lekki, dobrze sproszkowany, przylegający do skóry, a przede wszystkim nie powinien zawierać składników metalicznych, trujących, jak np. sole ołowiane, bizmutowe, rtęciowe. Dla odróżnienia składników, zawartych w pudrze, są odpowiednie reakcje chemiczne, znane fachowcom. Laik może rozpoznać dobry puder do jego lekkości, albowiem składniki metaliczne zwiększają ciężar pudru.

Do otrzymania odpowiedniego koloru, stosuje się barwniki wszelkich odcieni. Po długich doświadczeniach udało nam się w laboratorium T-wa Akcyjnego Karpiński sporządzić „Mój puder“ higieniczny dr. J. Świtalskiej, w skład którego wchodzi jedynie tarte rośliny.

Jakich kolorów pudru należy używać? — Na to pytanie można dać tylko teoretyczną odpowiedź. W praktyce zależy to od mody, koloru włosów, brwi, oczu i także skóry. Jednak, w każdym nowoczesnym

pudrze, za podstawę musi być wzięty kolor czerwony, otrzymany z roślin czerwienicy (carmin), nigdy zaś szkodliwy dla skóry cynober.

Kolor różowy musi być lekko zaznaczony, jako tak zwany kolor naturalny, dający ciepły ton. Puder żółty i biały nadaje twarzy wyraz martwy. Umiejętne pudrowanie jest sztuką bardzo trudną i wymagającą dużo staranności w stosowaniu odpowiednich odcieni, zależnie od typu cery, matowej, lub kolorowej. Inny bowiem mają odcień skóry blondynki, inny brunetki. Najlepszym będzie puder naturalnego koloru skóry, subtelny w odcieniu, albo zawierający zawsze tony koloru „bois de rose“, gdyż, jako taki, może być stosowany do wszelkiego rodzaju skóry.

Cena pudru 4 zł. — porto 1 zł. Zamawiać można: Krucza 31, Dr. J. Świtalska.

„Mój puder“ higieniczny wysyła się na prowincję, jedynie w kolorze naturalnym, nadającym się do każdej cery, inne kolory muszą być osobiście dobrane.

Dr. J. Świtalska.

PRZECHOWANIE MASŁA.

Ogólnie zarzucono dziś zbieranie większych ilości masła na zimę — w mieście jest to zrozumiałe — niema gdzie chować i za co kupić dużo naraz, więc zamiechano robienia nie jednych zapasów, tłumacząc się na każdym kroku, wedle bajki Lapontain'a o zielonych winogronach; ale dlaczego na wsi cierpieć w zimie niewygodę, zdobywać za wszelką cenę masło złe i bardzo drogie, kiedy można przygotować sobie zapas większy, chroniący nas od przykrości i straty, jakie zawsze przynosi kupowanie „z nożem na gardle“. Dla przezornych i umiejących myśleć o jutrze gospodyń, przytoczę tu kilka prostych, na doświadczeniu opartych wskazówek, zachowania masła, a według nich zakonserwowane — wytrwa długie miesiące. Masło do przechowania najlepsze jest z maja i z sierpnia. Smak jego, zapach, kolor, po świeżej paszy w maju są pierwszorzędne i aromatyczne. W sierpniu, tak zwane masło „ścierniskowe“, kiedy bydło po rżyskach chodzi, okazało się najtrwalszem, bo choć mleka jest mniej po suchej, ścierniskowej paszy, niż po soczystej wiosennej — to jednak jest ono bardzo tłuste, i daje masło ścisłe, dobre do przechowania. Różne są sposoby przyprawiania masła, zależnie, czy przeznaczone jest ono na wczesny użytek, czy też na późniejszy. Soląc je na krótko, bierze się na kilo masła 2½ deka utłuczonej mialki i przesianej soli kamiennej, to jest z bryły. Sól kuchennej, czyli mialkiej nie używa się do żadnego solenia. Wyrobiwszy z solą, układać trzeba bardzo szczelnie w duże kamienne garnki, w których upchane ściśle, zalewa się roztworem wody słonej.

Chcąc zachować masło na dłużej, trzeba wziąć 1 deka cukru mialkiego, 1 deka saletry, 3 deka soli kamiennej na 1 kilo masła i po starannym wyrobieniu, przynajmniej przez 3 kwadransy, ułożyć w garnku kamiennym, upychając bardzo szczelnie, aby nigdzie powietrze nie dochodziło, lub w faski drewniane, koniecznie dębowe, bukowe, klonowe, a nigdy sosnowe, albo jodłowe, czyli z drzewa smolnego zrobione, bo masło przejdzie żywicą. Dla uniknięcia tego, najlepiej używać fasek dawniejszych, ale tak stare, jak nowe, trzeba zawsze przed użyciem wysolic, czyli napełnić

je tak silnym roztworem soli, aby wrzucone w nią jajko wypływało na wierzch i zatopić się nie dało. Tak napełnione faski, przykryć szczelnie denkami i zostawić przynajmniej na dwa dni, poczem ten sam płyn można użyć do wysalania innych fasek. Po wylaniu słonej wody, przepłókać faskę zimną, czystą wodą i wytrzeć mocno mialką solą, tak aby cała faska była pokryta cienką jej warstwą. Po natarciu faski, przewrócić ją, aby wysypała się zbyteczna sól, a tak przyrządzony, można być spokojną, że masło nie spleśnieje, ani nie nabierze od drzewa przykrego zapachu, lub obcego smaku. Najważniejszym warunkiem dobrego zakonserwowania masła jest — aby w nim nie maślanki nie pozostało. Dawniej, płótkano masło w wodzie, dziś za najlepsze uważane jest takie, które wody nie widziało. Wygniata się je z maślanki na specjalnych stołach o drzewnianych, pochyłych, karbowanych blatach, na których odparzywszy je, następnie oblawszy zimną wodą, odpowiednimi wałkami, wygniata się masło z maślanki. Podam tu stary sposób „czyszczenia“ (jak tam nazywają) masła, który dostałam z Litwy, a który, jak zaręczają tamtejsze gospodynie, jest doskonały, że masło, nim spreparowane, utrzymać można bez jękzenia przez parę lat. Do pobielonego świeżo kociołka, nalać tyle wody gorącej, aby jej waga była dwa razy większa od masła, — które się w nią włoży. Na ciepłej kuchni ciągle mieszać tę masę, dopóki zupełnie nie połączy się masło z wodą. Wtedy zdjąć kocioł z blachy i postawić w chłodnym miejscu. Gdy zastygnie, zrobić mały otwór przy boku kotła i przechylić tak, aby woda zupełnie przez ten otwór ściekła. Pierwsza odciedzona woda, będzie prawie biała, co dowodzi, jak wiele części mlecznych pozostaje w masle, a że od razu nie można go odczyścić doskonale, to samo działanie z gorącą wodą, powtarzać tak długo — dopóki odciedzona woda zupełnie czysta nie będzie. Wtedy masło posolić, jak zwykle i układać ściśle w garnkach, lub faskach. Naczynia z masłem, szczelnie zabite, przechowuje się w miejscu chłodnym a suchym, uważając, aby faska zawsze dopełniona była mocnym roztworem soli, co jakiś czas zmienianym naturalnie. Również dobrze

przechowuje się masło topione, przyrządzone, jak następuje: wiadomem jest, że tylko zupełnie czyste masło nie psuje się, a przez topienie oczyszcza się całkowicie. Masło, w dobrym gatunku i świeże, kładzie się w duże rondle, najlepiej miedziane, świeżo pobielane, obszerne, stosownie do ilości masła, tak jednakże, aby wypełnione były tylko do połowy. Nalewa się trochę wody na dno i stawia na ogniu uważnie, aby płomień masła nie sięgał. Gdy masło burzy się znacznie, dużą aluminiową warzawką ustawicznie mieszać i przelewać je potrzeba, aby nie wykypiało. Zsunąć rondel na mniejszy ogień i nie przestając mieszać, tak dla zapobieżenia wykypieniu, jak dla uchronienia mętów na dnie zebranych od przypalenia. Gdy już fusy osiadają, trzeba trochę wydostać, aby się przekonąć, czy jeszcze są białe, skoro się bowiem zarumienia, masło jeszcze gwałtowniej kipić będzie, więc jeszcze staranniej warzawką mieszać być powinno, w końcu zupełnie zestawić je z ognia. Gdy ściągniemy je i przestygnie tak, że zaledwie letnie pozostanie, zlać je przez rzadkie płótno, albo przez bardzo gęste, nowe zupełnie sito w naczynia, w których, gdy krzepnąc znacznie, przegniatać przez 3 kwadransy, dodając mniejszą, niż do świeżego masła, ilość soli. Obwiązać słoje albuminowym papierem i schować. Używając do potraw, przesmażać je trzeba, czekając, dopóki piana nie opadnie. Tak przygotowane masło, bez posolenia nawet, długi czas utrzyma się w świeżości. Zamieszczę tu jeszcze kilka wskazówek, co do płókania i prze-

chowania świeżego masła. Po zrobieniu masła, zaraz po wyjęciu go z naczynia, posolić przed płókaniami, następnie, przemywać w kilku wodach. W końcu wygnieść z niej dobrze, ułożyć ściśle w naczyniu porcelanowym, lub kamiennem i zalać słoną wodą (którą za każdym braniem masła zmieniać trzeba). O ile masło jest białe i kolor ma nieapetyczny (zwykle zdarza się to na jesieni i w zimie) trzeba je przyfarbować najniewinniejszą dla jego dobroci i smaku farbą, a mianowicie: ususzyć w odpowiednim czasie (t. j. w ciągu lata) listki kwiatka zwanego „Nagietek“ (Calendula Officinalis) utłuc je na proszek, rozmacić w troszce mleka, precedzić, a raczej wycisnąć odrobinę do śmietany, z której masło robić mamy. Jeżeli chcemy przyfarbować masło już zrobione, trzeba dolać wyżej wskazanej farby do wody i przepłókać w niej masło. Niektórzy dodają soku z żółtej marchwi, albo orleanu w kropkach, ale tak od jednej, jak od drugiej, masło prędko gorzknieje.

Do zawiązywania słoików, lub przykrywania fasek z masłem, najlepiej używać papieru albuminowego, czyli białkowanego, który przyrządza się w domu w sposób następujący: jedno białko rozbić na bardzo tęgą pianę, dodać 1 gram soli morskiej i pół grama sody sproszkowanej, rozmiarować to doskonale, aby się w pianie rozpuściło, maczać w tem zwyczajny biały papier tak, aby ze wszystkich stron nasiąkł. Następnie wysuszyć go na powietrzu, a gdy uschnie, przeciągnąć dla glansu gorącym żelazem do prasowania.

CO NA LETNISKU MOŻNA USUSZYĆ.

Są rozmaite zioła i przyprawy, które cokolwiek w gospodarstwie domowym są używane w niezbyt dużych ilościach, a które jednak mieć w domu należy, gdyż, kiedy się okaże ich potrzeba, całymi godzinami szukać je po sklepach należy. Już nie mówię o takim codziennym potrzebnym dodatku do potraw, jak koperek, — świeży jest zimą niedostępny drogi, suszony zaledwie w kilku sklepach w całej Warszawie dostać można, toż samo ma miejsce z suszoną pietruszką, — tej ostatniej zresztą całą zimę w każdym sklepie warzywnym dostać można. Rzadko kiedy miesiąc przejdzie, aby ktoś z domowników nie potrzebował użyć mięty lub rumianku przy jakimś zaburzeniu żołądkowym, malin suszonych lub kwiatu lipowego przy przeziębieniu. Nie należy zapominać, że leśne poziomki suszone mają te same właściwości co maliny, to jest wywołują poty, przyczem herbata z nich jest tak smaczna, że w dawnym, przedwojennym Petersburgu w wielu domach podawano ją na five'ach obok herbaty zwyczajnej. Otóż bawiąc na letnisku, na szczerzej gdzieś wsi, możemy sami zebrać, — dzieci szczególnie ze specjalnem amatorstwem oddają się tego rodzaju herboryzacji, — rozmaite pożyteczne zioła lub je bardzo tanio nabyć u okolicznych mieszkańców. Zebrane w większych ilościach można zawsze zbyć do składów aptecznych, w niedużych — będą użyteczne w domu. Przedewszystkiem więc kminek, który rośnie przy drogach, na łąkach, (których jednak oczywiście deptać nie radzę!). Zbiera się go z całą rośliną, wiąże w snopki, suszy na słońcu, wykrusza lub młóci, zależnie od ilości zebranej, wysiewa z plew i gałązek i zsypuje w torebki. Znamy wszyscy wyborne gomółki z kminkiem, które, nawiasem mówiąc, robione w domu, ćwierć tego, co w sklepie kosztują, chleb i bułeczki z kminkiem też są bardzo lubiane. Rumianek rośnie prawie na wszystkich wygonach.

Do celów leczniczych i kosmetycznych, — prawie każda blondynka dbała o ładny kolor włosów, myje je w rumianku, — używany jest rumianek drobno-kwiatowy, kwiaty są w nierównych baldaszkach, — po wsiach każda baba wskaże, który rumianek jest „prawdziwy“, inne gatunki „psim“ rumiankiem nazywają. Same kwiatki tylko rumianku suszy się, rozpostarte w cieniu na płótnie. Gdy tylko dobrze wyschnie, spakować w pergaminową torbę, aby aromatu nie tracił. Przy każdej niemal chacie rośnie mięta, a w starych sadach są nieraz całe kępy nią porośnięte. Ścinana porządnie nożyczkami odrasta kilkakrotnie przez lato. Są jej dwa gatunki, tak zwana, (używam nazw ludowych, nie botanicznych) puchowa, o ładnych jakby lekkim, srebrzystym puchem pokrytych listkach, i ostrzejszego aromatu pieprzowa o bardziej wydłużonych, ciemniejszych liściach, — obie są równie pożyteczne. Suszy się je, jak rumianek. Koperek i pietruszkę suszyć tu lepiej latem, niż jesienią, są aromatyczniejsze i delikatniejsze. Suszy się je, powiązane w pechki i powieszzone w cieniu, lub też rozpostarte na płótnach. Często należy je przewracać, aby schły prędko i równomiernie. Po doskonałem ususzeniu, należy je drobniuchno pokruszyć, zsypać do butelek i zakorkować, tak przebrane nie tracą aromatu i nie zmiękają, co się często zdarza, gdy je trzymamy w torebkach papierowych, — trzeba je wtedy dosuszać w piecu i po paru takich dosuszaniach stają się zwykłym sianem. Poziomki i maliny leśne, czarne jagody, zbierane na wycieczkach i przechadzkach, o ile nie zostają spożyte na świeżo, należy rozsypywać na arkuszach pergaminu i suszyć, na razie na słońcu, a gdy nieco przywiedną, w cieniu, poczem konserwuje się je w słojach lub torebkach pergaminowych. Maliny, poziomki i czernice służą wszystkim do celów leczniczych, lecz oprócz tego herbata poziomkowa do-

brze ocukrzona jest wykwintnym napojem podwieczorkowym, a z czarnych jagód suszonych mamy wyborne kisielki i zupy. Oprócz koperku zielonego można też suszyć baldaszki nasienne, dodające wiele smaku przy pieczeniu chleba pyłowego; kto lubi, może nimi nawet potem bułeczki posypywać, suszy się nasienie kopru tak samo, jak kminek. Grzybów do suszenia nie oplaci się nigdy kupione są tańsze od suszonych w domu — kupnych oczywiście. Bo jeśli mieszkamy w obfitującej w grzyby okolicy i sami je zbierać możemy, to wszystkie niespożyte na obiad lub niezamarynowane suszyć należy. Wszystkie grzyby prawdziwe, podosiniaki, kozaki, maślaki (ociągnięte ze skórki), nawet opienki, chociażby starsze i nieładne, byle bez robaków, suszyć można. Nawłóczy się je na patyczki, kładzie patyczki wpoprzek na brytfannę, aby grzyby nie dotykały dna brytfanny i wsadza w gorący piec na noc, potem dosusza się je na powietrzu, gdzieś w przewiewnym miejscu. Gdy suche, niżej się je na nitki, starannie gatunkując. Innym sposobem suszenia jest nawiązywanie je na gałązki i suszenie około blachy, stawiając gałązki tak, aby grzyby nie spadały. Młode prawdziwe grzybki i dziko rosnące pieczarki, kraje się w cienkie paski i suszy na papierach lub płótnach w cieniu, często przewracając. Taki susz, odpowiednio użyty, nie ustępuje w smaku świeżym grzybom. Piszę to tylko o najpospolitszych suszach, których zebranie i przyrządzenie jest dostępne każdemu letnikowi, właściciele lasów i ogrodów mają daleko obszerniejszy zakres pracy, tak samo osoby, specjalnie zajmujące się hodowlą lub zbieraniem na sprzedaż ziół lekarskich lub farbiarskich.

Pani Elżbieta.

Korespondencje działu praktycznego.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

E. H.

Na usunięcie brodawek stosowano dawniej środki żrące, jak lapis i t. p., następnie przypalanie, po którym występowały stałe blizny i często na nowo tworzyły się brodawki. Obecnie stosuje się elektroliza, lub diatermia, które usuwają bez śladu i nie dają nawrotów.

By dać skuteczną radę na wypadanie włosów, trzeba zbadać organizm, skórę, włosy, albo mieć wyczerpujące szczegóły, których Pani nie podaje. Ogólne wskazówki znajdzie Pani w moim artykule „O włosach“ w *Bluszczu*. Łupież najczęściej występuje wraz ze swędzeniem głowy — towarzyszy temu zwykle wypadanie włosów. Czasem dobre wyniki daje lampa kwarcowa. Ze środków farmaceutycznych najlepsza jest maść siarczana Rp. Sulf. ppti 2,0, Ung. cerei 18,0, Ol. neosoti. g V.

Przy łupieżu należy myć głowę raz na 10 dni przy słabych włosach; przy silnych raz na tydzień. Smarować maścią na 2 dni przed każdym umyciem głowy. Od siarki włosy koloru nie zmieniają, należy płukać w rumianku z łyżką wody utlenionej na miednicę wody.

Lwów — Tka.

Na wysypkę na szyi proszę stosować następujący środek: Zinzi oxyd. 40,0, ol. olivarium 60,0 na noc, zrana zmyć i lekko wetrzeć „Mój Krem“. Na wzmocnienie włosów podaje receptę:

T-ra Jaborandi
Rosmarini
Chin. Comp. aa 10,0
ol. ricini 20,0.

Wcierać na noc codziennie w ciągu 6 tygodni.

Co do środka na rozjaśnienie włosów, odsyłam do odpowiedzi, które daje L. S. Wilejka i E. H.

Opis sukien i robót do № 31.

670. Suknia z zefiru w kratkę, kamizelka i kołnierzyk z organdy.
671. Suknia z surowego jedwabiu, dół plisowany.
672. Suknia z lekkiej wełny, żabot z georgette'y.
673. Suknia z tularu deseniowego ze zmarszczoną spódniczką.
674. Suknia z wełny w kratę, przybrana gładkim sukniem.
675. Suknia z deseniowego crêpe marocain.
676. Strojna suknia z crepe de chine'u, przybrana gipiurą.
677. Suknia z płócienka w kratkę, kołnierzyk w jednym kolorze.
678. Suknia z surowego jedwabiu, przybrana galonem kolorowym.
679. Suknia z deseniowego crêpe marocain, kołnierzyk z organdy.
680. Suknia z lekkiej wełny, spódnica układana w kontrafaldy.
681. Suknia z niebieskiej georgette'y, przybrana wstawką ze złotej koronki.
682. Suknia z kreponu gładkiego i deseniowego.
683. Suknia z surowego jedwabiu w kratę.
684. Spódniczka z wełny w kraty i bluzka z surowego jedwabiu.
685. Suknia z kasha koloru rezedowego, kołnierzyk i mankiety w barwne pasy.
686. Suknia z płócienka w kratę.
687. Suknia z surowego jedwabiu w kolorowe pasy.
688. Bluzka z surowego jedwabiu, przód układany w fałdki.
689. Bluzka szyta w zakładeczki z popeliny piaskowej.
690. Bluzka z żabotem z blade-różowego crêpe de chine'u.
691. Suknia z wełny koloru parme, przybrana futrem.
692. Ubranko z surowego jedwabiu dla dziewczynki pięcioletniej.
693. Sukienka z dwóch materiałów dla dziewczynki dwunastoletniej.
694. Suknia z fularu deseniowego.
695. Trzy wzory naturalnej wielkości do ozdobienia bielizny.
696. Mała i większa serwetka richeliu, mała serweteczka z haftem angielskim i narożniki chusteczki.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących: pałto, lub suknia fantazyjna zł. 3,50
suknia zwyczajna „ 2,50
bluzka „ 2,00
formy dzieciinne „ 2,00
bielizna „ 1,50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należą, n.o.s.c.i w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszczu“ w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielka ilość możemy odstąpić naszym Czytelnikom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele prenumeratorów nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.